

RUDYARD KIPLING

PUK Z
PUKOWEJ
GÓRKI

Rudyard Joseph Kipling

Puk z Pukowej Górki

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23534194

Puk z Pukowej Górki:

Аннотация

Wiejskie dzieci z małej miejscowości o wdzięcznej nazwie Pukowa Górka spędzają czas na zabawie w teatr. Przed wiejskimi krowami, wcielając się we dwoje w wiele postaci, wystawiają Sen nocy świętojańskiej Szekspira. Ku ich zdziwieniu, w trakcie przedstawienia zjawia się tajemnicza, długoucha, niewielka postać. Okazuje się, że wioska nie bez przyczyny nosi tę nazwę – rzeczywiście mieszka w niej elf Puk. Od tej chwili Puk towarzyszy dzieciom, opowiada im o historii Europy, a także przedstawia innym gościom. Puk z Pukowej Górki to powieść autorstwa angielskiego pisarza Rudyarda Kiplinga, wydana w 1907 roku. Kipling zasłynął przede wszystkim jako autor Księgi dżungli, jego twórczość była kierowana głównie do młodzieży.

Содержание

1. Miecz Welandy	4
2. Młodzi dziedzice dworu	42
3. Rycerze wesołej przygody	73
Конец ознакомительного фрагмента.	81

Rudyard Kipling

Puk z Pukowej Górki

1. Miecz Welanda

Śpiew Puka¹

Widzisz miedzę, co biegnąc przez łąn niewyraźnie
w wybojach cała się kładzie?
Tędy wieziono działa, co sprawiły łaźnię
króla Filipa² armadzie!

Widzisz nasz miły młynek, co pilnie i gwarno
turkoce wciąż nad młynówką?

¹ *Puk* – czarodziejski skrzat z angielskich legend i baśni, psotny, ale życzliwy ludziom, nazywany też Robinem Pocziwcem (*Robin Goodfellow*). [przypis edytorski]

² *działa, co sprawiły łaźnię króla Filipa armadzie* – w 1588 r. król Hiszpanii, Filip II Habsburg (1527–1598), wysłał 130 okrętów przeciwko Anglii, chcąc wesprzeć angielskich katolików w walce z anglikanami. Okręty angielskie wyposażono właśnie w nowoczesne uzbrojenie: działa znajdowały się nie tylko na pokładzie, ale i w ładowniach, były mocowane systemem lin i bloczków i sprawniej obsługiwane. Opór Anglików oraz sztormy sprawiły, że do Hiszpanii wróciła zaledwie 1/3 Wielkiej Armady. [przypis edytorski]

Od czasu Księgi Ustaw³ on tu miele ziarno
i płaci czynsze – gotówką!

Czy widzisz – obok dębów zadumanej kępy —
parów wyschnięty już dawno?

Tam się – hej! – załamały saksońskie zastępy,
Harold⁴ śmierć poniósł tam sławną!

Widzisz tych równin przestwór, rozległy i gładki,
co miejskie opasał furty?

Tu pierzchli Normanowie⁵, gdy Alfreda⁶ statki

³ *Księga Ustaw* (ang. *Domesday Book*) – księga katastralna, sporządzona na rozkaz Wilhelma Zdobywcy w 1086 r., dokładny spis stanu posiadania mieszkańców Anglii, ich ziemi, budynków, poddanych i bydła. Spis miał służyć głównie przy wyznaczaniu i ściąganiu podatków. [przypis edytorski]

⁴ *Tam się załamały saksońskie zastępy, Harold śmierć poniósł tam sławną* – w bitwie pod Hastings w 1066 r. wojska Wilhelma Zdobywcy z Normandii pokonały pospolite ruszenie Saksonów, germańskich mieszkańców Anglii, pod wodzą króla Harolda II Godwinsona (1022–1066). Powodem najazdu był spór o tron angielski, obiecany przez poprzedniego króla m.in. Wilhelmowi, a zwycięstwo ułatwił Normanom potężny najazd wikingów, sprzymierzonych z bratem Harolda. [przypis edytorski]

⁵ *Normanowie* – „ludzie północy”, mieszkańcy Skandynawii, ludy północnogermańskie, które od VIII do XII w. najeżdżały, a czasem też podbijały bliższych i dalszych sąsiadów. W XII w. Normanowie kontrolowali Anglię (dokąd przybyli ze swego księstwa w zach. Francji), pld. Włochy i Sycylię oraz 2 tys. km wybrzeża ptn. Afryki na wschód od Tunisu, a nawet Antiochię na wschodnim krańcu Morza Śródziemnego. Z czasem stracili wiarę w Odyna, Thora i innych swoich bogów i wtopili się w społeczeństwo Francji, Anglii czy Włoch, brali też udział w krucjatach. [przypis edytorski]

⁶ *Alfred Wielki* (849–899) – saksoński król Wessex, a następnie całej Anglii, którą zjednoczył. Odpierał ataki Normanów z Danii, w końcu przydzielił im prowincję na

przez morskie płynęły nurty!

Czy widzisz naszych pastwisk obszerne pustkowie,
gdzie wołów pasie się stado?

Było tu miasto⁷ głośnie, a w nim ludu mrowie,
nim Londyn stał się – osadą!

Widzisz nieraz, jak z ziemi ulewa wyorze
rów jakiś, majdan, częstokół?

Tu był obóz legionu, gdy Cezar przez morze
z Galii przyleciał jak sokół!⁸

Widzisz sieć dziwnych znaków, co ledwie że błyszczą
wśród wzgórków jak majak senny?

Stawiali je – w obronie swoich horodyszcz⁹ —

północy wyspy, nazwaną Danelaw, i skłonił ich do przyjęcia chrześcijaństwa. [przypis edytorski]

⁷ *Było tu miasto głośnie, a w nim ludu mrowie, nim Londyn stał się osadą* – fort rzymski Anderitum, wybudowany w III w. n.e. w celu obrony przed Saksonami, przekształcony w średniowieczu w saksoński zamek Pevensey Castle. Osada na miejscu dzisiejszego Londynu istniała prawdopodobnie jeszcze przed kolonizacją rzymską, a rzymski obóz warowny w tym miejscu powstał w I w. n.e. [przypis edytorski]

⁸ *Tu był obóz legionu, gdy Cezar przez morze z Galii przyleciał jak sokół* – Gajusz Juliusz Cezar (100–44) w czasie wojny galijskiej przeprowadził się ze swymi wojskami przez kanał La Manche w 55 i 54 r., aby ukarać Celtów z Brytanii za wspieranie Gallów. Podczas drugiej wyprawy zdołał pokonać władców kilku plemion i zmusić ich do płacenia kontrybucji, nie zajął jednak żadnych terenów na stałe. Rzymianie podbili pód. część Anglii sto lat później, w 43 r. n.e., i panowali tam do V w., kiedy wyparli ich Saksoni i Anglowie. [przypis edytorski]

⁹ *horodyszcz* (z ukr.) – gród, warowna osada. [przypis edytorski]

ludzie z epoki kamiennej¹⁰...

Z szlaków zatartych, z grodów, obozów zburzonych,
z bagnisk (gdzie łąn dziś bogaty),
z dawnych wojen, przymierzy i sztuk zaginionych
Anglia powstała przed laty.

Niezwykłe lasy, wody ma ona kraina,
więc sobie ją upodobaj,
bo ta wyspa jest wyspą zaklętą Merlina¹¹,
my zaś – pojedziem tam obaj!

Dzieci bawiły się w teatr. Mając za widzów jedynie trzy
krowy, grały przed nimi *Sen nocy świętojańskiej*¹² – ile tylko

¹⁰ *Stawiali je [...] ludzie z epoki kamiennej* – na terenie dzisiejszej Anglii w epoce kamiennej (w okresie paleolitu i neolitu) mieszkali najpierw ludzie heidelberscy i neandertalczyki, a następnie ludzie z gatunku *homo sapiens*. Przez całe tysiąclecia wyspę łączył z Europą szeroki pas ziemi, więc w różnych epokach kolejne ludy trafiały tu w swoich wędrówkach za stadami zwierząt. W ciągu setek tysięcy lat klimat kilkakrotnie się zmieniał, a w cieplejszych okresach łowcy polowali tu na słonie, hipopotamy i nosorożce. Anglicy średniowieczni wierzyli, że pierwszymi mieszkańcami Anglii były olbrzymy, ponieważ ruiny budowli prehistorycznych składały się z ogromnych, bardzo ciężkich bloków kamiennych. Z licznych takich budowli najbardziej znane dziś jest Stonehenge, a w epoce brązu licznie powstawały też mniejsze, „rodzinne” kamienne kręgi. **Znaki na wzgórzach** to także **geoglify**, ogromne prehistoryczne rysunki na stokach wzgórz, takie jak wojownik Long Man of Wilmington niedaleko Pevensey. [przypis edytorski]

¹¹ *Merlin* – postać występująca w cyklu legend arturiańskich, potężny czarodziej. [przypis edytorski]

¹² *Sen nocy świętojańskiej* – komedia Williama Shakespeare'a, znana dziś w Polsce pod tytułem *Sen nocy letniej*. Jednym z bohaterów tej sztuki jest psotny Puk, zwany

zdołały zapamiętać z tej sztuki. Ojciec przerobił dla nich długą komedię Szekspira na małą komedyjkę, a one póty powtarzały ją za ojcem i matką, aż w końcu nauczyły się wszystkich ról na pamięć. Zaczęła od tej sceny, w której tkacz Mikołaj Kłęb z oślą głową na karku wychodzi z zarośli i dostrzega śpiącą królową Czaroludków Tytanię. Potem od razu przeskoczyły do tego miejsca, gdzie Mikołaj Kłęb prosi trzy małe Czaroludki, by go poskrobały w głowę i przyniosły mu miodu; wszystko zaś kończyło się tą chwilą, kiedy to Mikołaj zasypia w objęciach Tytanii. Dan grał kolejno rolę Puka, Kłęba i trzech Czaroludków. Jako Puk, miał za godło rogatą czapkę sukienną, a jako Kłęb – oślą głowę z otrzymanej na gwiazdkę „strzelającej torebki” papierowej, z którą jednakże trzeba było obchodzić się ostrożnie, gdyż darła się nader łatwo. Una grała Tytanię; na głowie miała wianek z ostróżek, a w ręce berło z kwiatu naparstnicy.

Za widownię służyła łąka zwana Długim Wygonem. Mała rzeczulka, zasilająca młyn oddalony o kilka zagonów, skręcała właśnie koło jej naroża, opasując odwieczny Krąg Czarodziejski szerniałej trawy – czyli „scenę” teatru. Brzegi młynówki, porośnięte łożą, leszczyną i kaliną, były doskonałymi kulisami, za którymi ukrywać się mogli aktorzy oczekujący swej kolejki. Ktoś z dorosłych, oglądając ten teren, wyraził się, że sam Szekspir nie mógłby wymarzyć lepszej oprawy dla swego widowiska.

Ma się rozumieć, że dzieciom nie pozwolono urządzić

przedstawienia w samą noc sobótkową. Rozpoczęły je przeto wieczorem, zaraz po podwieczorku, gdy po ziemi snuć się poczęły coraz to dłuższe cienie. Kolację wzięli z sobą; złożyły się na nią: jajka na twardo, herbatniki i garstka soli zawiniętej w papierek. Trzy krowy, niedawno wydojone, pasły się pracowicie, a pochrzést skubanej trawy rozlegał się daleko po całej łące. Młyn właśnie szedł – i rzeczywiście tak dudnił i stukał, jak gdyby ktoś stapał prędko bosymi stopami po gołej ziemi. Na jakiejś furtce ogrodowej kukułka kukała swą urywaną śpiewkę czerwcową, a niestrudzony zimorodek przelatywał ustawicznie od młynówki do małego strumyczka płynącego po drugiej stronie łąki. Senna cisza poza tym panowała wszędzie w parnym powietrzu, przesyconym wonią słodyczki łąkowej i zeschniętej trawy.

Przedstawienie udało się wybornie. Dan pamiętał wszystkie swoje role: Puka, Kłęba i trzech Czaroludków, a Uno nie opuściła ani jednego ze słów Tytanii; przebrnęła szczęśliwie nawet to trudne miejsce, gdzie królowa przykazuje Czaroludkom, by przyniosły do jedzenia Kłębowi „morele, dojrzałe (a może zielone) figi i jeżyny” – przy czym wszystkie wiersze kończą się tym samym rymem. Zachęcenі powodzeniem, odegrali całą rzecz trzy razy od deski do deski, po czym zasiedli do zasłużonego spoczynku na wolnym od ostów skrawku Czarodziejskiego Kręgu, by spożyć jajka na twardo i herbatniki. Nagle jednak zerwali się na równe nogi, posłyszawszy jakiś dziwny świst pośród olszyn nadbrzeżnych.

Zarośla rozchyliły się – i oto w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stał Dan, odgrywający rolę Puka, ukazał się mały, smagły i krępy człowieczek o piegowatej twarzy, na której uwydatniały się skośne, niebieskie oczka, mały, perkaty nosek oraz usta rozdziawione w uśmiechu niemal po same podługowate i spiczaste uszy. Przysłonił dłonią czoło, jak gdyby chcąc się przyjrzeć Pigwie, Kłębowi, Ryjowi¹³ tudzież ich kamratom odbywającym próbę *Pirama i Tysby*, po czym głosem basowym, przypominającym porykiwanie trzech krów przed udojem, jął deklamować:

Cóż to za zgrzebne Filipy z konopi
gwarem swym mącą sen naszej królowej?¹⁴

Przerwał na chwilę, przyłożył zgiętą dłoń do ucha i mrugając złośliwie oczyma, ciągnął dalej:

Co? Widowisko?! Chętnie będę widzem,
a w razie czego nawet i aktorem...

¹³ *Pigwa, Kłęb, Ryj* – postacie komiczne ze *Snu nocy letniej*, ang.: *Quince, Bottom, Snoud*, w polskich przekładach: Pigwa (cieśla), Spodek lub Denko (tkacz), Ryjak lub Ryjek (kotlarz). Są to rzemieślnicy ateńscy, którzy przygotowują i odgrywają amatorskie przedstawienie na motywach tragedii o Priamie i Tyzbe, wywołując swoją prostotą efekt śmieszności. [przypis edytorski]

¹⁴ *Cóż to za zgrzebne Filipy z konopi gwarem swym mącą sen naszej królowej? Co? Widowisko?! Chętnie będę widzem, a w razie czego nawet i aktorem* – słowa Puka z I sceny III aktu *Snu nocy letniej*. [przypis edytorski]

Dzieci otworzyły usta w zdumieniu. Tymczasem mały cudak – który ledwie że sięgał do ramienia Danowi – najspokojniej w świecie wstąpił w sam środek Czarodziejskiego Kręgu.

– Wyszedłem już trochę z wprawy – odezwał się. – W każdym razie moją rolę należało grać w ten właśnie sposób.

Dzieci wciąż w osłupieniu mierzyły go wzrokiem – od ciemnobłękitnej czapeczki, przypominającej olbrzymią, wspaniale rozkwitniętą ostróżkę, aż po bose, kosmate nożeta. Nie mógł już dłużej wytrzymać i roześmiał się.

– Nie patrzcie na mnie tak srogo, moi mili. Jam tu nic nie winien. Czegóż innego mogliście się spodziewać?

– Nie spodziewaliśmy się tu nikogo – odpowiedział Dan. – Przecież to nasze własne pole.

– Wasze? – spytał zdziwiony przybysz siadając. – Jakaż więc siła ziemską kazała wam powtarzać aż trzy razy *Sen nocy świętojańskiej* właśnie w wieczór sobótki, w samym środku Czarodziejskiego Kręgu?... I to nie gdzie indziej, ale u stóp... u stóp jednego z najstarszych wzgórków Starej Anglii, zostających pod moją władzą? Jak się zwie ta miejscowość? *Pook's Hill*! A co znaczy *Pook's Hill*? Pukowa Górka! A więc to moje wzgórze, Pukowa Górka! To takie jasne jak koniec mego nosa!

To mówiąc wskazał na огоłocone z drzew, paprociami porośłe zbocze Pukowej Górki, zaczynające się od przeciwległego brzegu młynówki i wspinające się ku czerniejącemu w dali lasowi. Poza tym lasem grunt podnosi się dość stromo na wysokość pięciuset stóp, dochodząc na koniec do

nagiej płasni Beacon Hillu, skąd roztacza się widok na równiny Pevensey, na kanał La Manche i część Kredowego Pogórza południowej Anglii.

– Na Dąb, Jesion i Głóg! – zaklął się skrzat rechocąc śmiechem nieprzerwanym. – Gdyby to zdarzyło się kilkaset lat temu, już by się tu wszędy koło was wyroili różni Górscy Ludkowie niby pszczoły w czerwcu!...

– Nie wiedzieliśmy, że w tym było coś złego – usprawiedliwiał się Dan.

– Złego! He! He! He! – zatrząsł się od śmiechu mały cudak. – Juści, że nie było w tym nic złego. Dokonaliście rzeczy takiej, za której wykrycie dawni królowie, rycerze i uczeni oddaliby korony, ostrogi i księgi. Nie zdołalibyście się sprawić lepiej nawet z pomocą samego Merlina! Wdarliście się w tajniki gór! Wdarliście się w tajniki gór! Coś podobnego nie zdarzyło się od tysiąca lat!

– Myśmy... myśmy nie mieli tego zamiaru – tłumaczyła się Una. – Nie chcieliśmy...

– Pewnie, żeście nie chcieli... I dlatego właśnie się wam udało! Niestety, wzgórze już opustoszały, a Ludek Górski wywędrował z tych okolic. *Ja* tu tylko pozostałem... samotny! Jestem Puk, najdawniejsza z dawnych istot Starej Anglii... i jestem do waszych usług, o ile zechcecie z nich korzystać. Jeżeli nie życzycie sobie mego towarzystwa, oddalę się bez szemrania na każdy wasz rozkaz.

Przez dobre pół minuty przyglądał się dzieciom, a one

nawzajem spoglądały na niego. Przestał już mrugać oczyma – owszem, miał w nich wyraz bardzo uprzejmy, a na wargach zajaśniał dobrotliwy uśmiech.

Una wyciągnęła rękę.

– Nie odchodź – rzekła. – Bardzo nam z tobą przyjemnie.

– Masz tu od nas herbatnika! – dodał Dan, podsuwając mu zmiętoszoną torebkę z zapasami żywności.

– Na Jesion, Głóg i Dąb! – zaklął się znów Puk, zdejmując błękitną czapeczkę. – Mnie też jest z wami nader miło! Sypnij no, Danie, dużo soli na ten sucharek, to przyłączę się do waszej wieszery! Będziecie mogli z tego wysnuć pewne wnioski co do mnie. Bo to niektórzy z nas – ciągnął dalej, napchawszy sobie usta – niektórzy z nas czują wstręt do soli, do podków przybitych nad drzwiami, do jagód jarzębiny, do płynącej wody, do zimnego żelaza czy wreszcie do dźwięku dzwonów kościelnych. Ale co Puk, to Puk! A ja jestem Puk!

Starannie strzepnął z kaftana wszystkie okruszynki i uściskał dzieciom ręce.

– Zawsześmy sobie z Danem mówili – bąknęła nieśmiało Una – że gdyby... gdyby coś takiego się zdarzyło, tobyśmy wiedzieli doskonale, co mamy robić... ale... teraz to nam wszystko jakoś inaczej się składa...

– Ona ma na myśli spotkanie z Czaroludkami – wyjaśnił Dan. – Ja bo nigdy w nie nie wierzyłem... przynajmniej od czasu, gdy ukończyłem sześć lat.

– A ja wierzyłam – rzekła Una. – W każdym razie wierzyłam

na poły aż do czasu, gdy uczono nas piosenki: *Żegnajcie, nagrody!* Czy znasz piosenkę: *Żegnajcie, żegnajcie, nagrody i baśnie?*

– Czy to o tę piosenkę ci chodzi? – spytał Puk i odrzuciwszy w tył dużą głowę, zaczął od razu od drugiego wiersza:

...Tak skrzętna gospoia rzec może,
bo jej się dziś w pracy powodzi tak właśnie,
jak dziewczce leniwej w oborze!
Bo chociaż wymiecie kominki w izdebkach

(Śpiewaj wraz ze mną, Uno!)

staranniej niż dziewczka służebna,
nikt przecie nie słyszał, by rano w jej trepkach
moneta znalazła się srebrna!

Echo rozlegało się po całej łące.

– Widzicie, że umiem tę piosenkę – pochwalił się Puk.

– A potem idzie wierszyk o Kołach Czarnoksiężskich – rzekł Dan. – Gdy byłem mały, wierszyk ten zawsze napełniał mi smutkiem serduszko.

– Zdaje się, że chodzi wam o „Te szlaki kręte, koła zaklęte”? – spytał Puk i zahuczał głosem donośnym niby organy kościelne:

...gdzie trwożna garstka się chowa,
wszędzie się prawie snuły po trawie,

gdy żyła Maria królowa¹⁵.

Ale niestety, w czasach Elżbiety¹⁶

i gdy wziął Jakub¹⁷ koronę,

wśród łąk i trawisk nie ma już zjawisk¹⁸:

snadź pierzchły – w lata minione!...

Sporo czasu upłynęło, odkąd nie słyszałem tej śpiewki... Ale co tu obwijać rzecz w bawełnę? W tej piosence wszystko jest prawdziwe. Ludkowie Górscy wynieśli się stąd od dawna. Jam widział ich niegdyś, gdy pojawili się w Starej Anglii, widziałem też, jak ją opuszczali. Olbrzymy, chowańce, topielce, karty, biesy i chochliki; wodniki, boruty, leszy, zaścienie; wrześniaki, brzeźniaki, pogórcy, skarbniki, bożęta-niebożęta, krasnoludki, planetniki, uroki, upiory, jędze, dziwożony i dziwomęże, psikusy, skrzaty – i ilu, ilu jeszcze ich tam było – odeszli, odeszli precz! Jam do Anglii przybył wraz z dębem,

¹⁵ *Maria królowa*, własc. *Maria I Tudor* (1516–1558) – królowa Anglii w latach 1553–1558, zwana *Bloody Mary*, ponieważ, będąc gorliwą katoliczką, starała się siłą wykorzenić w swoim państwie protestantyzm (anglikanizm). Córka Henryka VIII i Katarzyny Aragońskiej, żona króla Hiszpanii Filipa II Habsburga. [przypis edytorski]

¹⁶ *Elżbieta I* – Elżbieta I (1533–1603), córka Henryka VIII i Anny Boleyn, królowa Anglii w latach 1558–1603. Pod jej panowaniem weszła w pełni w życie reforma religijna rozpoczęta przez jej ojca: kościół anglikański niezależny od Papieża, zarządzany przez monarchę Anglii. [przypis edytorski]

¹⁷ *Jakub I Stuart* (1566–1625) – król Szkocji, został królem Anglii po śmierci królowej Elżbiety I jako jej krewny. [przypis edytorski]

¹⁸ *nie ma już zjawisk* – według wierzeń ludowych wróżki opuściły Anglię, kiedy katolicyzm został wyparty przez anglikanizm. Opowiada o tym ostatni rozdział książki, *Rójka w Dymchurch*. [przypis edytorski]

głogiem i jesionem i odejdę stąd dopiero wtedy, gdy dąb, jesion i głóg wyginą w całym kraju.

Dan rozejrzał się po całej łące – zatrzymując kolejno wzrok to na dębie Uny, rosnącym koło tylnej furtki ogrodu, to na rzędzie jesionów osłaniających Wydrzy Staw, do którego odprowadza się wodę młynówki, gdy młyn jest bezczynny, a wreszcie na starym, sękatym głogowcu, o którego pień trzy krowy lubiły czochać swe karki.

– Jest wszystko jak należy! – zawołał, po chwili zaś dodał: – A jesienią zasadzę tu mnóstwo żołądzi!

– Toś ty chyba bardzo już stary? – zapytała Puka Una.

– Nie jestem stary... ale dożyłem ładnego wieku, jak powiadają ludzie. Tak, napatrzyłem się już niejednemu! Pomyślcie sobie tylko, że gdy głazy w Stonehenge¹⁹ liczyły sobie niewiele lat istnienia... jeszcze zanim ludzie z epoki kamiennej zbudowali zbiornik wody poniżej koliska Chanctonbury²⁰... przyjaciele moi zastawiali co wieczór miskę śmietany dla mnie...

– Och! – krzyknęła Una, klaszcząc w rączki, i skinęła nagle główką.

– Pewno jej przyszedł do głowy jakiś pomysł – wyjaśnił Dan.

¹⁹ *głazy w Stonehenge* – budowla z wielkich głazów ustawionych w kręgu, pochodząca z epoki neolitu a. brązu. Przypuszcza się, że była świątynią kultu słońca. Znajduje się w hrabstwie Wiltshire, koło miasta Salisbury, ok. 160 km na zachód od miejsca akcji powieści. [przypis edytorski]

²⁰ *Chanctonbury Ring* – fort ziemny, usypany przez ludzi w epoce brązu, a następnie służący jako obóz rzymski, położony w hrabstwie West Sussex, ok. 60 km na zachód od miejsca akcji powieści. [przypis edytorski]

– Ona zawsze tak się zachowuje, gdy uda się jej wymyślić coś nowego...

– Przyszło mi na myśl... że może byśmy tak zostawiali dla ciebie porcyjkę naszej kaszki? Oczywiście, trzeba by ją wynosić na strych, bo w pokoju dzieciennym zmiarkowano by natychmiast, co się święci.

– Powiedz raczej, w pokoju lekcyjnym – poprawił ją Dan skwapliwie.

Una zarumieniła się, albowiem nie dalej jak z początkiem owego lata zawarli uroczysty układ, że nie będą już nazywali „sali szkolnej” pokojem dzieciennym.

– Złote masz serce, moja droga! – rzekł Puk z podzięką. – Oj, będzie z ciebie za lat parę ładna i mądra dziewczyna! Prawdę mówiąc, to nie potrzebujecie mi zostawiać miseczki z jadłem... ale jeżeli mi kiedy przyjdzie oskoma, bądźcie pewni, że sam was poproszę o jaki kasek.

Wyciągnął się jak długi na wyschniętej trawie. Dzieci położyły się obok niego i poczęły niefrasobliwie wymachiwać w powietrzu bosymi nóżkami. Były za pan brat z nowym znajomym, bo wiedziały, że z jego strony równie nic im nie grozi, jak ze strony starego sadownika Hobdena, z którym szczególnie przyjaźniły się już od dawna. Puk nie zamęczał ich mądrymi pytaniami, nie wyśmiewał się z ośle głowy, ale leżał sobie spokojnie i z jakimś rozrzewnieniem uśmiechał się sam do siebie.

– Czy macie jaki nóż przy sobie? – zapytał w końcu.

Dan podał mu duży nóż o jednym ostrzu (jakim w domu nie

pozwalano mu się bawić), a Puk jął wykrawać kawałek darni ze środka Czarodziejskiego Kręgu.

– Co to za... czary? – zapytała Una widząc, że Puk wyważył z ziemi czworograną bryłę brunatnej gliny, przypominającą wyglądem kawał szwajcarskiego sera.

– To jedna z mych sztuczek czarnoksięskich – odpowiedział Puk wykrawając drugą bryłę ziemi. – Widzicie, moi drodzy, ja nie mogę udzielać wam pozwolenia na wstęp w głąb gór, bo Ludkowie Górscy już je opuścili; ale jeżeli zechcecie przyjąć ode mnie intromisję, to może będę mógł pokazać wam coś takiego, co nieczęsto można oglądać na tej ziemi. Jeżeli kto, to wy zasługujecie na to w zupełności.

– A co to znaczy przyjąć intromisję? – zapytał Dan przezornie.

– Jest to stary obyczaj zachowywany przy kupnie i sprzedaży ziemi. Polega on na tym, że wykrawa się bryłkę ziemi i wręcza kupującemu. Otrzymać intromisję, czyli stać się prawowitym właścicielem gruntu, można dopiero wtedy, gdy dawny właściciel wręczy nowemu dziedzicowi taką, jak ta, bryłkę ziemi...

To mówiąc wyciągnął ku nim obie wykopane grudki.

– Ależ ta łąka i tak jest naszą własnością – odpowiedział Dan, odstępując nieco w tył. – Czy chcesz nam ją zabrać za pomocą czarów?

Puk roześmiał się.

– Wiem, że to wasza łąka, ale... wy też powinniście wiedzieć,

że jest na niej wiele rzeczy takich, o których nie śniło się... ani wam, ani nawet waszemu tatusiowi. Co wam szkodzi spróbować? – to mówiąc zwrócił się do Uny.

– Niech tak będzie! Spróbuję! – zawołała.

Dan pozbył się skrupułów i natychmiast poszedł za jej przykładem.

– A teraz jesteście prawnie zaintromitowanymi dziedzicami całej Starej Anglii – jął ogłaszać Puk przeciągłym, monotonnym głosem. – Na mocy prawa Dębu, Głogu i Jesionu wolno wam chodzić wszędy oraz widzieć i poznawać wszystko, co się wam żywnie podoba albo co ja wam pokażę. Obaczycie to, co dane wam będzie obaczyć, i usłyszycie to, co dane wam będzie usłyszeć, chociażby to nawet zdarzyło się trzy tysiące lat temu; nie zaznacie zasię przy tym ani zwątpienia, ani trwogi. Mocniej! Dzierżcie mocno wszystko, co wam daję.

Dzieci zamknęły oczy – w oczekiwaniu czegoś niezwykłego. Jednakże na przekór oczekiwaniu jakoś nic osobliwego się nie zdarzyło.

– No i cóż? – zapytała Una z rozczarowaniem, otwierając oczęta. – Myślałam, że zobaczymy smoki.

– Chociażby to się zdarzyło trzy tysiące lat temu – powtórzył Puk i zaczął liczyć na palcach.. – O, nie! Niestety, trzy tysiące lat temu nie było smoków w tym kraju.

– Ależ, jak dotąd, to jeszcze nic osobliwego się nie wydarzyło! – dąsał się Dan.

– Chwilkę cierpliwości! – uspokajał go Puk. – Nie zmusisz

dębu, by wyrósł w rok jeden... a przecie Stara Anglia więcej sobie lat liczy, niżby ich mieć mogło dwadzieścia pokoleń dębów. Usiądźmy znowu i podumajmy trochę. Co do mnie, to nie potrafię objąć myślą więcej jak jedno stulecie naraz.

– Tak, ale ty jesteś Czaroludkiem! – zauważył Dan.

– Czy słyszeliście, bym choć raz użył tego słowa? – zachnął się Puk.

– Nie. Wspominałeś tylko „Ludków Górskich”, natomiast ani słowem nie bąknąłeś o „Czaroludkach” – odpowiedziała Una.

– Właśnie mnie to zastanawiało. Co, nie podoba ci się takie nazwanie?

– A czy wam byłoby miło, gdyby was nazywano ustawicznie „śmiertelnikami” lub „istotami ludzkimi”? Gdyby na ciebie wołano „córo Ewy”, a na niego „synu Adama”?

– Wcale by mi się to nie podobało! – odrzekł Dan. – W taki właśnie sposób przemawiają dżinny i afryty w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*.

– Podobnie i ja się czuję, gdy ktoś w odniesieniu do mnie używa tego słowa... którego ja nigdy nie wypowiem... Zresztą to, co nosi u was ową nazwę, to wszystko istoty urojone, o jakich Ludkom Górskim nigdy nie zdarzyło się słyszeć: jakieś małe bąki o motyliach skrzydełkach, spódnickach z gazy, z gwiazdami we włosach i z różdżkami w rękach, przypominającymi trzcinkę, używaną przez nauczyciela w razie potrzeby ukarania złego ucznia lub nagrodzenia dobrego. Umiałbym coś o nich powiedzieć!

– Wcaleśmy nie myśleli o takich istotach – zaprzeczył Dan. – My też nie żywimy do nich sympatii.

– Słusznie! – zawołał Puk. – Czyż więc możecie się dziwić, że Ludkowie Górscy nie chcą uchodzić za jedno z hałastrą tych pstrokatych skrzydlaczy, tych mydłków kiwających różdżkami, tych karmelkowych fircyków! Motyle skrzydełka, he, he, he! Widziałem ci ja imć Huona²¹, jak z drużyną wyruszył z zamczyska Tintagel²² w kierunku wyspy Hai Brazil²³, w samą paszczę południowo-zachodniej wichury... gdy piana obryzgiwała cały kasztel, a „Rumaki Wzgórza” stawały dęba z przerażenia. W chwilach gdy cichła wichura, wydostawali się na pełne morze, wrzeszcząc jak rybitwy, a potem cofali się na pięć mil w głąb lądu, zanim zdołali znów stawić czoło wiatrowi. Ładne mi motyle skrzydełka! Była to prawdziwa sztuka czarnoksięska... najczarniejsza, na jaką mógł zdobyć się czarnoksiężnik Merlin... Czarne głębiny morskie lśniły zielonawą poświatą i białą pianą, wśród której wiły się śpiewające wodnice... a „Rumaki Wzgórza” torowały sobie drogę z fali na falę przy oślepiającym blasku błyskawic! Tak to bywało

²¹ *Huon z Bordeaux* – bohater średniowiecznych poematów rycerskich, dokonujący bohaterskich czynów dzięki pomocy króla wrózek, Oberona. [przypis edytorski]

²² *Tintagel* – ruiny zamku, należącego dawniej do książąt Kornwalii, w pld.-zach. krańcu Anglii, wg legend *Rycerzy Okrągłego Stołu* w tym zamku urodził się i wychował król Artur. [przypis edytorski]

²³ *Hai Brazil*, ang. *Hy-Brasil* – mityczna wyspa, mająca znajdować się na Atlantyku na zachód od Irlandii. Według legend wyłaniała się z mgły tylko raz na 7 lat. Była oznaczana na niektórych mapach w XV i XVI w. [przypis edytorski]

drzewiej... dawniejszymi czasy!...

– Wspaniale! – zachwycił się Dan, natomiast Una zadrżała z przerażenia.

– O, jakże się cieszę, że już nie ma tych straszycieli! – szepnęła.
– Ale dlaczegoż to Ludki Górskie stąd odeszły?

– Różne były powody – odrzekł Puk. – O jednym kiedyś wam opowiem, gdy wyjaśnię, jak przyszło do największego ze wszystkich wyrają²⁴. Bo one nie odleciały wszystkie naraz, gromadnie. Odchodziły jeden po drugim kolejno w ciągu wieków. Uchodźcami byli przeważnie cudzoziemcy, którzy nie mogli przywyknąć do naszego klimatu. Ci oddalili się najwcześniej.

– Kiedy to nastąpiło? – zapytał Dan.

– Jakie dwa tysiące lat temu, a może i dawniej. Trzeba wiedzieć, że początkowo byli oni bożkami. Kilku z nich przywieźli tu Fenicjanie²⁵, gdy przybijali do tych brzegów, by kupować cynę. Potem tu lądowali Galowie²⁶, Jutowie²⁷,

²⁴ *wyraja* – odlot ptaków na zimę do ciepłych krajów. [przypis edytorski]

²⁵ *Fenicjanie* – lud pochodzenia semickiego, mieszkający w starożytności w Fenicji (tereny dzisiejszego Libanu) i zajmujący się handlem w miastach nad całym Morzem Śródziemnym. Fenicjanie byli świetnymi żeglarzami i zakładali liczne kolonie, bogate miasta, także nad Atlantykiem na wybrzeżach dzisiejszego Maroka i Hiszpanii, skąd wyprawiali się jeszcze dalej, m.in. do Anglii. [przypis edytorski]

²⁶ *Galowie* – różne plemiona celtyckie z terenów dzisiejszej Francji osiedlały się w Anglii być może już w VI w. p.n.e. [przypis edytorski]

²⁷ *Jutowie* – plemię germańskie z Jutlandii, które w V w. n.e. po wycofaniu się Rzymian osiadło w Południowej Anglii. [przypis edytorski]

Duńczycy²⁸, Fryzowie²⁹, Anglowie³⁰ – i sprowadzili ich tu jeszcze więcej. Raz po raz jakieś plemię lądowało u tych brzegów albo chroniło się na okręty – a każde przywoziło z sobą swoje bożki. Ale w Anglii stawały się z tych bożąt prawdziwe niebożęta. Ja osobiście skarżyć się nie mogę, bo mi wtedy było nie gorzej niż obecnie. Miska kaszy, kubek mleka i drobne figle płatane wieśniakom, jak teraz, tak i wówczas, wystarczały mi w zupełności do szczęścia. Osiedliłem się tutaj, jak widzicie, i żyłem zawsze za pan brat z ludźmi. Natomiast większa część mych druhów pragnęła nadal być bożkami, mieć ołtarze, świątynie, świątelników i ofiary...

– Czy takie ofiary, o jakich opowiadała nam panna Blake?... Ofiary z ludzi, których palono w plecionkach z łożyny? – zapytał Dan.

– Najrozmaitsze ofiary – odpowiedział Puk. – Jeżeli nie z ludzi, to z bydła, koni, nierogacizny albo z syconego miodu. Ja tam nigdy w tym nie gustowałem. Oj, byłyż uparciuchy i cudaki z tych starych bałwanów! I czy na wiele im się to przydało? Phi! Ludzie, gdy im się lepiej zacznie powodzić, tracą ochotę do robienia z siebie ofiary, ba, nie mają ochoty ofiarować nawet swych koni roboczych. Toteż w czas pewien ludzie poniechali

²⁸ *Duńczycy* – tu: Danowie, plemię z pld. Skandynawii, przodkowie dzisiejszych Duńczyków. Najeżdżali oni Brytanię od VIII w. [przypis edytorski]

²⁹ *Fryzowie* – lud germański z Fryzji, z wybrzeży Morza Północnego (dziś tereny Holandii, Danii i Niemiec). [przypis edytorski]

³⁰ *Anglowie* – jedno z plemion germańskich, które najechały Brytanię w V w. n.e. Od nich pochodzi nazwa Anglii. [przypis edytorski]

stare bożęta. Dachy świątyń zapadły się, świątynie opustoszały. Nie było rady! Bożęta musiały wygramolić się w świat i żywić się na własną rękę, jak tam który potrafił. Niektóre z nich wieszały się po drzewach albo też kryły się po grobach i jęczały po nocach. Jeżeli tak jęczały dość głośno i długo, udawało się im niekiedy napędzić takiego stracha jakiemuś biednemu chłopkowi, że okupywał się im kurą albo bryłką masła. Przypominam sobie taką boguńkę, co się zwała Belisama; została ona w końcu zwykłą rusalką wodną kędyś w Lancashire. Miałem też całe setki innych przyjaciół, co niegdyś byli bożkami, potem zeszli do rzędu Ludków Górskich, a w końcu powędrowali sobie w inne strony, bo z tych lub innych przyczyn nie mogli wyżyć wśród Anglików. O ile sobie przypominam, jedna tylko Stara Istota uczciwie zarabiała na życie od czasu pojawienia się na świecie. Był to Weland³¹, nadworny kowal kilku bożków, których imiona wypadły mi z pamięci; ten ci wykuwał dla nich miecze i włócznie, a podobno szczyił się, iż jest krewniakiem skandynawskiego Thora³².

– Czy tego Thora, o którym jest mowa w *Bohaterach Asgardu*? – zapytała Una, która miała w pamięci świeżo przeczytaną powieść pod tym tytułem.

– Być może – odpowiedział Puk. – W każdym razie, gdy

³¹ *Weland* a. *Wolundr* (mit. germańska) – boski kowal i złotnik, bóstwo opiekuńcze, bohater wielu legend skandynawskich i anglosaskich. [przypis edytorski]

³² *Thor* (mit. nordycka) – bóg pioruna, rolnictwa, małżeństwa i rodziny. Przedstawiany z młotem w dłoni, na rydwanie ciągniętym przez kozły. [przypis edytorski]

nadeszły złe czasy, Weland nie kradł ani nie żebrał, tylko pracował... a ja miałem szczęście wyświadczyć mu pewną przysługę.

– Opowiedz nam o tym! – zawołał Dan. – Ja tak lubię słuchać o dawnych czasach.

Ułożyli się wygodnie na murawie, gryząc żdźbła trawy. Puk oparł się mocno na łokciu i jął opowiadać:

– Zaraz, niech no sobie przypomnę, jak to było... Pierwszy raz spotkałem Welandą w pewien wieczór listopadowy, podczas wielkiej zawiei śniegowej na równinie Pevensey...

– Pevensey? Czy mówisz o tym Pevenseyu za wzgórzem? – zapytał Dan, wskazując ręką na południe.

– Tak jest... tylko że w owych czasach były tam jeno³³ moczary, dochodzące aż do Horsebridge i Hydeneye. Znajdowałem się właśnie na wzgórzu Beacon (wówczas zwał się on Brunanburgh), gdy ujrzałem w dali bladą lunę płonących strzech wiejskich. Poszedłem przyjrzeć się pożarowi. Jacyś korsarze (zdaje mi się, że należeli do szajki Peofna) puszczały z dymem wioskę położoną na równinie. Na przedzie wielkiej, trzydziestu dwoma wioślami opatrzonej galery, którą właśnie przycumowali do brzegu, spoczywał posąg Welandy – olbrzymi, czarny kloc drewniany, przybrany w bursztynowy naszyjnik. Mróz ci wtedy był siarczysty! Z burty statku zwisały sople lodowe; lód, jak szkliwo, osiadł na wioślach i powlekł wargi Welandy. Ten, gdy mnie obaczył, począł mi nucić przeciągłą

³³ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

pieśń w swej ojczyściej mowie, opowiadając, jak to on będzie panował nad Anglią, a ja będę wachał dym ofiarny jego ołtarzy, snujący się od Lincolnshire aż po wyspę Wight. Puszczając mimo uszu te jego przechwałki. Napatrzyłem się tyłu najazdom bożków na Starą Anglię, że przestały one wywierać na mnie wrażenie. Pozwoliłem mu wyśpiewać się do woli przez ten czas, gdy załoga podpalała wioskę, a potem ni stąd, ni zowąd odezwałem się do niego: „Kowalu bożków, oto nadchodzi czas, gdy będziesz w kuźni przydrożnej zarabiał na parę groszy swym rzemiosłem”...

– Cóż na to odrzekł Weland? – spytała Una. – Czy się rozgniewał?

– Zwymyślał mnie brzydko, łypiąc groźnie oczyma, więc odszedłem w głąb lądu, by obudzić śpiącą ludność i przestrzec ją przed niebezpieczeństwem. Mimo wszystko jednak korsarze zdobyli kraj – a Weland stał się nader ważnym i potężnym bożkiem. Miał wszędy świątynie, od Lincolnshire aż po wyspę Wight, a składane mu ofiary były wprost potworne w swym okrucieństwie. Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że wołał konie niż ludzi... ale na przekór tym wszystkim końskim czy ludzkim ofiarom wiedziałem dobrze, że nadejdzie taki czas, gdy i on będzie musiał zniżyć się ze swej godności, podobnie jak to uczynili przed nim inni bogowie. Czekałem dość długo... z tysiąc lat może... a w końcu udałem się do jednej z jego świątyń koło Andover, by zobaczyć, jak mu się powodzi. Znalazłem tam jego ołtarz i posąg, nadto kapłanów i zgromadzenie wiernych...

a wszyscy, z wyjątkiem samego Welanda i jego kapłanów, wydawali mi się niezmiernie szczęśliwi i zadowoleni. W owych zaś dawnych czasach, trzeba wam wiedzieć, zgromadzenie wiernych czuło się nieszczęśliwe, póki kapłan nie wybrał spośród nich ofiary; przypuszczam, że i wy czulibyście się podobnie na ich miejscu. Gdy rozpoczął się obrzęd, jeden z kapłanów wystąpił naprzód, powłókł jakiegoś człowieka ku ołtarzowi, zamierzył się nań złożonym toporkiem i niby to palnął go w głowę, człowiek ten zaś zwał się na ziemię, udając, że umiera. Wówczas wszyscy obecni zaczęli krzyczeć: „Ofiara dla Welanda! Ofiara dla Welanda!”

– Co? Ten człowiek nie został zabity naprawdę? – spytała Una.
– Nie umarł?

– Ani mu się śniło umierać! Wszystko to odbywało się „na niby”, jak na herbatce dla lalek. Następnie wyprowadzono wspaniałego, białego rumaka, a kapłan obciął mu parę włosów z ogona i grzywy i wrzucił je do ogniska na ołtarzu, krzycząc: „Ofiara!” Miało to oznaczać, że człowiek i koń zostali zabici na ofiarę. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, patrząc na widniejącą w dymie twarz nieboraka Welanda. Miał minę skwaszoną, jakby od wielkiego głodu – nie dziwota, bo trudno najeść się do syta, łykając jeno obrzydliwy swąd palonego włosa! Gorzej niżli na herbatce dla lalek!... W każdym razie postanowiłem do czasu nie pisać ani słowa (byłoby nieładnie z mej strony, gdybym mu dokuczał!), więc zaszedłem ponownie do Andover dopiero po upływie kilku stuleci. Nie zastałem tu

już ani Welandą, ani jego świątyni; na jej miejscu stał kościół chrześcijański, rezydencja biskupa. Żaden z Ludków Górskich nie umiał mi opowiedzieć, co stało się z Welandem; przeto przypuszczałem, że opuścił Anglię.

Puk przerwał swą opowieść, przewrócił się na drugi bok, znów podparł się łokciem i zamyślił się.

– I wiecie co – odezwał się na koniec. – Było to chyba w parę lat później... na jakie parę lat przed przybyciem Wilhelma Zdobywcy... gdy powróciwszy na to oto wzgórze, po słyszałem, jak stary Hobden coś tam baje o Welandowym Brodzie.

– Jeżeli to chodzi o starego sadownika Hobdena, muszę ci zaznaczyć, że liczy on sobie dopiero siedemdziesiąt dwa lata życia – wtrącił się Dan. – Słyszałem to z jego własnych ust. Jest serdecznym przyjacielem nas obojga.

– Masz zupełną słuszość – odparł Puk. – Miałem na myśli nie waszego Hobdena, ale jego prapradziadka sprzed dziewięciu pokoleń. Był to człek wolny, z zawodu węglarz, i mieszkał gdzieś w tej okolicy. Znałem jego rodzinę, z ojca na syna, od czasów tak dawnych, iż niekiedy płaczą mi się z sobą trochę ich nazwiska. Ten Hobden, o którym mówię, zwał się Hob z Dene'u, a mieszkał koło kuźni... Otóż posłyszawszy nazwisko Welandą, oczywiście nadstawiłem uszu, a potem hała-drała! przez lasy i zarośla pomknąłem ponad bród rzeczutki, o tam, poza te leśne oparzeliska...

To mówiąc skinął głową na zachód, w stronę, gdzie dolina zwęża się pomiędzy zalesionymi wzgórzami a stromym

chmielnikiem.

– Aha, to most Willinford! – zawołała Una. – Przecież często chodzimy tamtędy na przechadzkę. Tam właśnie widzieliśmy zimorodka...

– W owym czasie, moja dziecinko, miejsce to zwało się Weland's Ford, czyli Bród Weland. Wiodła ku niemu droga (o jakże uciążliwa i wyboista!) od Beacon, ot tam z samego szczytu wzgórza, a całe zbocze górskie było porośnięte gęstym lasem dębowym, pełnym zwierzyny. Na próżno szukałem tam Weland... nigdzie ani śladu po nim! Patrząc: aż tu naraz ukazuje się jakiś opasty chłopek, człapiący konno leśną drogą od strony Beacon. Jechał niesporo, bo konisko zgubiło gdzieś w błocie podkowę. Podjechawszy do brodu, zeskoczył z siodła, wydobył grosz z kalety, położył go na kamieniu, przywiązał konia do dębu i zawołał: „Kowalu! Kowalu! Będziecie mieli robotę!” Potem, jakby nic, siada na ziemi i dalejże chrapać. Możecie sobie wyobrazić, co się ze mną działo, gdym nagle zobaczył, jak z zarośli wyłazi stary, siwobrody, zgarbiony kowal przepasany skórzanym fartuchem i bierze się do kucia konia: był to Weland we własnej osobie! Zdumiony nad wszelkie pojęcie, wyskoczyłem z krzaków i pytam: „To ty, Welandzie? Przebóg, cóż tu porabiasz?”

– Biedny Weland! – westchnęła Una.

– Kowal odgarnął w tył włosy, które zaszyły mu na czoło, i patrzył na mnie przez chwilę, nie poznając zrazu, ktom zacz. Gdy wreszcie poznał, rzecze: „Kto jak kto, ale ty, Starodawna

Istoto, powinienes wiedzieć, co tu robię. Przecieżś sam mi to przepowiedział. Zarabiam na życie podkuwaniem koni. Nawet imię Weland już mi przekrecono. Zowią mnie teraz Kowalem Przydrożnym, Wayland Smith”.

– Biedaczysko! – współczuł Dan. – I cóżes ty mu na to odrzekł?

– Cóż miałem mu powiedzieć? On spojrzał w górę, trzymając w objęciach końskie kopyto, i rzekł z uśmiechem: „Tak, tak, pamiętam czasy, kiedy bym takiego szkapska nie raczył przyjąć w ofierze, teraz zaś rad jestem, że zarobię choć grosik za podkucie mu kopyt”.

„Czy już nie ma sposobu, byś mógł powrócić do Walhalli³⁴, czy do innego miejsca, skąd przybyłeś?” – zapytałem.

„O, chyba nie! – odpowiedział skrobiąc pilnikiem końskie kopyto. Z końmi umiał obchodzić się wybornie, toteż stare szkapsko rżało przyjaźnie, oparłszy się o jego ramię. – Pewno sobie przypominasz, zem za czasów mej chwały i potęgi nie był bynajmniej bożkiem łaskawym. Przeto nie będę wyzwolon aż do czasu, gdy jakaś istota ludzka okaże mi szczerą przychylność”.

„W takim razie – odrzekłem – ten gospodarz już ci ją z pewnością okaże. Obkułeś mu konika jak się patrzy”.

„Jużci! – odpowiedział mi Weland. – Moje gwoździe podtrzymają podkówkę od jednej pełni księżycowej do drugiej. Atoli serca gospodarzy są jak ruda łąkowa, zimne i cierpkie

³⁴ *Walhalla* (mit. nordycka) – „pałac poległych”, pałac Odyna; miejsce, w którym polegli wojownicy uczują razem z bogami. [przypis edytorski]

zarazem”.

I czy uwierzycie, że ów gospodarz, obudziwszy się i ujrzawszy podkutego już konia, dosiadł go najspokojniej i odjechał bez słowa podziękii? Poruszyło mnie to do żywego i postanowiłem dać staremu łajdakowi lekcję grzeczności. Prosto z miejsca zawróciłem mu konia i okreśną drogą przyprowadziłem go nazad do Beacon... było jakie trzy mile tej drogi...

– Czy byłeś niewidzialny? – zapytała Una.

Puk kiwnął poważnie głową.

– Wioska Beacon była w owych czasach w ciągłym pogotowiu, na wypadek gdyby Francuzi wylądowali w Pevensey; przeto lada chwila powinny były błysnąć światła. Ja jednakże wodziłem mu konia ciągle w kółko i w kółko przez całą ową krótką nockę letnią. Chłopiek myślał, że go ktoś urzekł (co zresztą nie tak dalekie było od prawdy), przeto począł się modlić i przyzywać ratunku. Ja się tym nie przejmowałem, boć byłem równie dobrym chrześcijaninem jak on sam, czego dowody składałem na wszystkich odpustach w całym hrabstwie. Około czwartej nad ranem zaszedł nam drogę jakiś nowicjusz idący z klasztoru, co się tu dawniej wznosił na wzgórzu Beacon.

– Co to znaczy nowicjusz? – zapytał Dan.

– Właściwie wyraz ten oznacza osobę rozpoczynającą życie klasztorne; trzeba jednak wiedzieć, że w owych czasach ludzie świeccy posyłali swoich synów na naukę do klasztoru, jak dziś posyła się do szkoły. Młokos, o którym mówię, za lat uprzednich spędzał po parę miesięcy w jednym z klasztorów

francuskich³⁵, a obecnie kończył edukację w klasztorze nie opodal swych stron ojczystych, albowiem cała dolina należała do jego rodziców. Otóż Hugo (takie było imię panicza) wyszedł w ów ranek łowić ryby; posłyszał krzyki gospodarza... i oczywiście zapytał o przyczynę. Chłopek zaczął pleść duby smalone o jędzach, diablkach i upiorach, choć wiedziałem dobrze, że przez całą noc nie widział niczego, prócz paru sarn i królików. (Ludkowie Górscy – jak wydry – pokazują się tylko wtedy, gdy im przejdzie ochota). Ale nowicjusz był nie w ciemności. Rzuciwszy okiem na końskie kopyta, od razu zauważył nowe podkowki, przytwierdzone w sposób wiadomy jedynie Welandowi, a mianowicie za pomocą szczególnego zagięcia gwoździ, noszącego u ludności okolicznej nazwę „kowalskiego chwytu”.

„Hm! – mruknął nowicjusz. – A gdzieżecie to podkuwali konia, ojczulku?”

Gospodarz początkowo wykręcał się od odpowiedzi, wiedząc, iż duchowieństwo nie pozwala wiernym wdawać się w kunszachty z Dawnymi Istotami. W końcu jednak, przyciśnięty do muru, zdradził nazwisko kowala. „A cóżeście mu zapłacili za robotę?” – spytał nowicjusz. „Ano, grosz...” – bąknął posepnie gospodarz. „No, no! – pokręcił głową nowicjusz. – Nie wiem, czy który chrześcijanin przyjąłby tak lichy wynagrodzenie! Ale

³⁵ spędzał po parę miesięcy w jednym z klasztorów francuskich – w XI w., w czasach przed najazdem Normanów, szlachta saksońska z Anglii często wysyłała synów na naukę do szkół klasztornych w Normandii. [przypis edytorski]

chybaście mu jeszcze dodali: Bóg zapłać.” „Gdzieta! – obruszył się chłop. – Dyć kowal Wayland to niechrzczeniec!” „Czy on chrzczony, czy nie chrzczony, to inna sprawa! – odparł mu na to nowicjusz. – W każdym razie korzystałeś z jego usługi, a za usługę zawdy należy się podzięka”. „Co! – huknął chłopiek doprowadzony już do pasji, bom mu ciągiem obracał konia w kółko. – Co mi tu będziesz bakę świecił, żółtodziobie zatracony! Wedle twego mędrkowania, tobym może samemu diaskowi winien był powiedzieć: Bóg zapłać, gdybym przypadkiem skorzystał z jego usług?” „E, lepiej byście się, ojczulku, nie bawili ze mną w tak subtelne roztrząsania – zachnął się nowicjusz. – Po prostu wróćcie się do brodu i powiedzcie kowalowi: Bóg zapłać, jeżeli nic chcecie, żeby was co gorszego spotkało!”

Co było robić? Mój chłopiek wrócił się jak niepyszny. Poprowadziłem mu konia, nie postrzeżony przez nikogo. Nowicjusz szedł koło nas, dźwigając na ramieniu wędkę, niby włócznie, i otrząsając rosę z trawy fałdzistą połą swej sukni. Gdy doszliśmy do brodu (była może godzina piąta i mgły poranne snuły się jeszcze w dąbrowie), chłopiek zawział się i nie chciał powiedzieć: Bóg zapłać, a na dobitkę zaczął grozić, iż doniesie opatowi, że nowicjusz przymusza go do oddawania czci bożkom pogańskim. Wówczas Hugon stracił już wszelką cierpliwość; wrzasnął: „Złaż mi zaraz!” – i schwyciwszy chłopka za tłustą łydkę, wyrzucił go z siodła na ziemię, po czym nie pozwalając nieborakowi powstać, ucapił go za kark i dopóty trząsł nim jak szczurem, póki ten nie wyjąkał pokornie: „Bóg ci zapłać, kowalu

Weylandzie”.

– Czy Weland widział to wszystko? – spytał Dan.

– A jakże! Przyglądał się z radością i zachwytem całemu zajściu, a nawet wyrwał mu się z ust prastary okrzyk wojenny w chwili, gdy wieśniak runął z łoskotem na ziemię. Nowicjusz, doczekawszy się żądanych słów od wieśniaka, zwrócił się w stronę wspomnianego już dębu i zawołał: „Hej, kowalu bogów! Wstydić się muszę za tego grubianina, to prawda, ale pozwól, że za wszystkie uprzejmości i przysługi, jakie wyświadczyłeś jemu samemu i jemu podobnym, złożę ci podziękowanie i okażę szczerą życzliwość”. To rzekłszy podniósł wędkę (która w owej chwili jeszcze bardziej przypominała długą włócznię) i rzeźkim krokiem jął zstępować w tę oto waszą dolinę.

– A cóż na to biedny Weland? – zagadnęła Una.

– Zaczął śmiać się i krzyczeć z uciechy, gdyż był już na koniec wyzwolony i mógł odejść, gdzie mu się podobało. Atoli miał on naturę na wskroś rzetelną. Jak dotąd zarabiał sumiennie na życie, tak też postanowił spłacić przed odejściem wszystkie swoje długi. „Muszę przecie dać jakiś dar temu cnemu młodzikowi – powiedział sobie – taki dar, co wyjdzie na dobre i jemu, i jego ojczyźnie i rozśławi jego imię po świecie szerokim. Rozdmuchaj no mi ogień, Starodawno Istoto, a ja przyniosę żelaza na tę ostatnią mą robotę!” No i wykuł miecz o ciemnoszarym brzeszczocie, a falistym obrzeżu. Ja dąłem w miechy, a on kuł i kuł zawzięcie. Na Jesion, Głóg i Dąb! Wierzajcie mi, iż pokazał Weland, że nie darmo był kowalem bogów! Dwukrotnie hartował

ów miecz w bieżącej wodzie; za trzecim razem zahartował go w wieczornej rosie, potem położył go w świetle księżyca, wyszeptał nad nim runy³⁶, czyli słowa zaklęcia, i wyrył wieszczbę runiczną na brzeszczocie. „Starodawna Istoto – odezwał się do mnie, obcierając czoło – jest to najlepsze ostrze, jakie kiedykolwiek wyszło spod rąk Weland! Sam nawet właściciel miecza nie pozna się na jego wartości. Chodźmy do klasztoru!”

Udaliśmy się do sali, w której spali zakonnicy. Nasz nowicjusz chrapał twardo na swym tapczanie, spowity grubą opończą. Weland włożył mu w rękę miecz, a pamiętam wybornie, jak skwapliwie pochwycił ów młodzian za rękojeść. To widząc, Weland wkroczył nieśmiało do kaplicy i cisnął na podłogę cały swój sprzęt kowalski – młot, obcęgi i pilniki – by pokazać, że odtąd nie chce mieć z nimi nic do czynienia. Rozległ się szcęk, jak gdyby co najmniej kilkanaście zbroic zważyło się na ziemię. Zaspani mnisi wbiegli co sił do kaplicy, myśląc, że to Francuzi przypuścili znienacka szturm do klasztoru. Nowicjusz biegł pierwszy, wymachując nowiuśkim mieczem i wydając bojowe okrzyki w języku saksońskim. Na widok porzuconych kowalskich narzędzi wszyscy osłupieli, nic wiedząc, co to ma oznaczać; wówczas nowicjusz, poprosiwszy o głos, jął opowiadać o swoim postąpieniu z wieśniakiem, o swojej rozmowie z kowalem Welandem, a wreszcie o mieczu, który jakimś

³⁶ runy – litery alfabetu germańskiego, używane także w obrzędach magicznych (w tych czasach większość ludzi nie umiała czytać i pisać i uważała te czynności za tajemnicze i magiczne). [przypis edytorski]

dziwnym sposobem znalazł się na jego tapczanie, pomimo że przecie sypialnia była przez noc całą oświetlona.

Opat zrazu potrząsał głową, w końcu jednak roześmiał się i rzekł do nowicjusza: „Synu mój, Hugonie, obesłoby się i bez znaku ze strony jakiegoś tam bożka pogańskiego, bym wiedział, że z ciebie klasztor małą mieć będzie pociechę. Zabierzże swój miecz, pilnuj go dobrze i miej go zawsze przy sobie, a bądź równie szlachetny, jak dworny jesteś i krzepki. My zaś powiesimy te narzędzia kowalskie przed ołtarzem, bo choć ten kowal dawnych bożyszcz miał pewnikiem z onego czasu jakoweś grzeszki na sumieniu, toć potem zarabiał ciężko a uczciwie na kawałek chleba i składał ofiary na rzecz Matki naszej, Kościoła”. Potem wszyscy udali się na spoczynek; jeden tylko nowicjusz oka nie zmrużył, ale usiadłszy w ogródku klasztornym, zaczął bawić się swym mieczem. Wówczas Weland, ukryty za stajnią, rzekł do mnie: „Żegnaj mi, Starodawna Istoto! Prawdziwe były słowa twoje: tyś widział moje przybycie do Anglii, ty też jesteś teraz świadkiem mego odejścia. Do widzenia!”

To rzekłszy zszedł ze wzgórza aż na skraj Wielkich Borów (dziś zwiecie to miejsce Leśnym Zakątkiem), akurat tam, gdzie pierwszy raz wylądował. Przez chwilę jeszcze słyszałem, jak przedzierał się przez zarośla w stronę Horsebridge; potem już znikł bez śladu. Opowiadałem to, com widział na własne oczy.

Dzieci westchnęły głęboko.

– Ale co się stało z nowicjuszem Hugonem? – zapytała Una.

– A z mieczem? – zawtórował Dan.

Puk rozejrzał się po łące, która chłodna już i spokojna układała się do snu pod cieniem wzgórza Pook's Hill. Kędyś nie opodal derkacz ciurlikał wśród pokoszonej trawy, a młode pstrągi w rzeczulce poczęły wyskakiwać nad wodę. Spomiedzy olszyn wyfrunęła niepewnym jeszcze lotem biała ćma i poczęła krążyć nad głowami dzieci, a w ślad za nią równie biały i cichy opar wysnuł się znad potoku.

– Czy naprawdę chcielibyście wiedzieć to wszystko? – upewniał się Puk.

– Chcemy! Chcemy! – zawołały razem dzieci. – Strasznie chcemy!

– Doskonale. Przrzekłem wam, że zobaczycie to, co dane wam będzie zobaczyć, usłyszycie to, co dane wam będzie usłyszeć, chociażby to zdarzyło się trzy tysiące lat temu. Jednakże teraz coś mi się wydaje, że jeżeli natychmiast nie wrócicie do domu, to rodzice zaczną was szukać. Odprowadzę was do samej furtki.

– A czy się znowu pojawisz, gdy my tu przyjdziemy? – zapytały dzieci.

– Oczywiście! Oczywiście! – odpowiedział Puk. – Już tu przecie nieraz bywałem. Ale teraz bądźcie tak dobrzy... zaczekać chwilkę.

To mówiąc wręczył każdemu z nich po trzy listki: listek dębu, listek głogu i listek jesionu.

– Pogryźcie je! – rzekł. – Jeżeli tego nie uczynicie, to jeszcze gotowicie się w domu wygadać, coście tu widzieli i słyszeli, a

wtedy posłano by natychmiast po doktora... Znam ja się trochę na ludziach... No, pogryźcie dobrze!

Dzieci zaczęły zawzięcie żuć podane im listki i tak idąc ani się spostrzegły, gdy stanęły koło furtki. Zza furtki wychylił się ojciec.

– No, jakeście się bawili? – zapytał.

– O, świetnie! – zawołał Dan. – Tylko później... tak mi się wydaje... jakbyśmy zasnęli. Było tak ciepło i spokojnie. Czy sobie co przypominasz, Uno?

Una potrząsnęła główką i nie odrzekła ani słowa.

– Ho! ho! – rzekł ojciec. – Już widzę, jak to było:

Późną nocą do swej chaty Kilmeny wróciła
I nie zdaje sobie sprawy nawet, gdzie chodziła,
I wyjaśnić nie potrafi, co widziała w świecie...

Ale czemuż to w tak młodym wieku zabierasz się do żucia liści, córeczko? Czy to jakaś zabawa?

– Nie... to było mi do czegoś potrzebne... tylko że... nie mogę sobie przypomnieć... – odpowiedziała Una.

W istocie żadne z nich nie mogło sobie nic przypomnieć, aż dopiero...

Śpiew lasu

Choć i w borach, i w lasach tyle drzew rozmaitych
zdobi starą angielską krainę,
między rzeszą tą drzewną nie ma lepszych na pewno.
ponad jesion i głóg, i dębinę!
O, przemożne to drzewa! Niechaj każdy im śpiewa!
Niechaj dusze otworzą się w głąb!
Niechaj w ranek śródletni miły śpiew nam uświetni
one drzewa: głóg, jesion i dąb!

Dąb na glinie tej ziemi żył już laty dawnemi,
nim się zbożny Eneasza³⁷ narodził
a gdzie gleby są żyzne, tam miał jesion ojczyznę,
kiedy Brutus³⁸ z Italii uchodził;
głóg nad łąką torfiastą Nowej Troi³⁹ znał miasto,
gdzie Londynu założon był zrab.
Przeto wnosić możecie, jak już dawno na świecie
głóg wyrasta i jesion, i dąb!

³⁷ *Eneasza* (mit. gr. i rzym.) – bohater mitów oraz eposu *Eneida*, napisanego przez Wergiliusza. Uciekinier ze zburzonej Troi i protoplasta Rzymian. W średniowieczu w Anglii wierzono, że wnuk Eneasza, Brutus, dotarł do Brytanii i założył tu Nową Troję. [przypis edytorski]

³⁸ *Brutus* (mit.) – wnuk Eneasza, według legend cyklu arturiańskiego założyciel Nowej Troi w miejscu dzisiejszego Londynu i pierwszy król Anglii (nie należy mylić z Marcusem Iuniusem Brutusem, 85–42, przybrany synem i jednym z zabójców Juliusza Cezara). [przypis edytorski]

³⁹ *Nowa Troja* – w średniowieczu w Anglii popularna była legenda, według której Brutus, potomek Eneasza, pożegłował na północ aż do Brytanii, pokonał władającą nią olbrzymy i założył miasto Nowa Troja w miejscu dzisiejszego Londynu. [przypis edytorski]

Wprawdzie cis starodawny, który rośnie wśród grobów,
daje drzewce wyborne do łuku;
zasię drzewo olszyny bywa zdatne na obuw,
a pucharki wyrabia się z buku.
Lecz gdy łowy zakończysz i pucharek wysączysz,
a obuwie ci spadnie już z nóg,
pośród nędzy, frasunku nie poskąpi ratunku
ani dęb, ani jesion, ni głóg!

Wiąż nie lubi człowieka, więc się czai i czeka,
i choć wichry przycichną szalone,
on ku ziemi się nagnie, w łeb gałęzią cię smagnie,
zamiast dawać ci schron i osłonę!
Lecz czyś smutny, czy rzeźwy, czy od piwa nietrzeźwy,
skoroś zasnął, zwinąwszy się w kłęb,
śpij spokojnie i błogo i nie przejmuj się trwogą,
gdy cię strzeże głóg, jesion i dęb!

O, zachowaj nasz sekret!... A i księdzu nic nie mów!
On by grzechem te czary mógł przezwąć,
bośmy noc tę spędziły w głębi leśnych eremów⁴⁰,
nowe lato chcąc zakłąć, zawezwać!
Oto wieść tę radosną dla zasiewów i bydła
uroczyście zanosim w wasz próg:
że z południa już słońce przyleciało na skrzydłach,
wiodąc jesion, dębinę i głóg!

A więc, zacni waszmoście, głośną chwałbę podnoście!

⁴⁰ *erem* (z gr.) – pustelnia. [przypis edytorski]

Dniu śródletni! W rozbrzasku się kąp!

Do ostatnich dni świata niech się z Anglią pobrata
drzew tych trójca: głóg, jesion i dąb!

2. Młodzi dziedzice dworu

W kilka dni później dzieci były zajęte łowieniem ryb w potoku, który od wieków żłobił sobie łożysko w miękkim gruncie doliny. Ponad ich głowami gęstwa konarów drzewnych utworzyła długie sklepienie, przez które z trudem przebijały się promienie słońca, układając się w różne wzorki na usypiskach żwiru i piasku, na starych korzeniach i pniakach okrytych mchem lub zrudziałych od żelazistej wody, na naparstnicach białych i pnących się ku światłu, na kępach paproci i na nieśmiałych kwiatuśkach nadwodnych, które nie mogą żyć bez cienia i wilgoci. W stawach hasały pstrągi, raz po raz rozbijając powierzchnię wody. Stawy te zazwyczaj powiązane były z sobą cienkimi pasemkami poników⁴¹, toczących się z bełkotem wokół mroczni najbliższego skrzyżowania; jedynie w czas powodzi cały ten obszar stawał się jednolitą, brunatną strugą.

Łowisko to należało do najbardziej ustronnych, otoczonych największą tajemnicą. Wskazał je dzieciom najserdeczniejszy ich przyjaciel, stary ogrodnik Hobden; on też udzielał im wskazówek, jak należało w miejscu tym poławiać ryby. Gdyby nie leciuchny chrzęst wędki, trącej o wiklinę, albo cichy świst i szmer wyrzuconego w górę sznurka, przelatującego między listkami jesionu, nikt z ludzi znajdujących się na skwarnym

⁴¹ *ponik* – ciek wodny, strumyczek, czasem: znikający pod ziemią. [przypis edytorski]

pastwisku nie domyśliłby się nawet, jak miały się z pyszna pstrągi koło wydmy piaszczystej.

– Jużeśmy złapali chyba z pół tuzina – odezwał się Dan po godzinnym siedzeniu wśród gorąca i wilgoci. – Radzę teraz udać się nad skalistą zatokę i spróbować szczęścia w Długim Stawie.

Una kiwnęła głową na znak zgody (takimi skinieniami zazwyczaj zastępowała rozmowę). Wypełzli tedy z mrocznych zakamarków listowia i skierowali się w stronę niewielkiego jazu, odgradzającego rybny potok od młynówki. Brzegi tam już są niskie i niezarośnięte, a promienie słońca w godzinach popołudniowych odbijają się od powierzchni Długiego Stawu blaskiem tak jaskrawym, że aż oczy bołą od patrzenia w tamtą stronę.

Znalazłszy się na otwartej przestrzeni, dzieci omal z wielkiego zdumienia nie zwały się na ziemię. Pośrodku stawu, muskając ogonem szklaną taflę wody, stał olbrzymi, siwy koń i pił chciwie, a drobne fale tworzące się koło jego pyska połyskiwały jak roztopione złoto. Na koniu siedział siwy jak gołąb starzec, ubrany w przestronną, lśniąca kolczugę. Głowę miał odsłoniętą; żelazny, z kształtu do laskowego orzecha podobny szyszak wisiał u łęku siodła. Cugle były z czerwonej skóry, grubej na kilka cali, ząbkowanej po brzegach, a głębokie, suto wyściełane siodło o czerwonych popręgach trzymało się mocno dzięki równie czerwonym rzemieniom napierśnika i podogonia.

– Patrzaj! – szepnęła Una, choć Dan i tak już wytrzeszczał oczy z podziwu. – Zupełnie mi to przypomina obrazek

„Przeprowa imć pana Isumbrasa przez rzekę”... ten, co wisi w twoim pokoju.

W teŹe chwili rycerz obrócił się ku nim. Jego chude, pociągłe oblicze tchnęło doprawdy tą samą słodyczą i uprzejmością, jaką na wspomnianym obrazku nacechowana była twarz imć pana Isumbrasa, przenoszącego dzieci w bród przez rzekę.

– Oni właśnie powinni być tutaj, mości Ryszardzie – rozległ się nagle gruby głos Puka pomiędzy wikliną.

– Są już tu nawet – odpowiedział rycerz i uśmiechnął się do Dana, dzierżącego w ręce nanizane na sznurek pstrągi. – Zdaje mi się, że chłopcy niewiele się zmienili od tych czasów, gdy moi synowie łowili ryby w tych wodach.

– Jeżeli już napiłeś konia, to przejdźmy na obszar Czarodziejskiego Kręgu; tam będzie wygodniej! – rzekł Puk i skinął dzieciom głową tak poufale i spokojnie, jak gdyby czarodziejską mocą nie zatarł był przed tygodniem w ich pamięci wszystkiego, co się wówczas zdarzyło.

Rumak wykonał zwrot w tył i jał gramolić się na łąkę, silnymi uderzeniami kopyt strącając z nadbrzeżnego wiszaru całe bryły ziemi, które z chrzęstem waliły się w wodę.

– Za pozwoleniem waszmości! – ozwał się pan Ryszard do Dana. – Gdy te dzierzawy do mnie należały, nie pozwalałem na to, by jeźdźcy mieli przeprowiać się przez strumień inaczej, jak cembrowanym brodem; atoli mojej Jaskółce pić się chciało okrutnie, ja zasię pragnąłem spotkać się z wami.

– Bardzo się cieszymy z pańskiego przybycia – rzekł Dan.

– Proszę się tym wcale nie przejmować, że koń pański trochę uszkodził brzegi.

Mówiąc to, biegł truchcikiem przez pastwisko tuż obok olbrzymiego wierzchowca, z tej strony, gdzie u pasa imć pana Ryszarda wisiał potężny miecz o żelaznej rękojeści. Una wraz z Pukiem dreptała poza nimi. Teraz już przypomniła sobie wszystko.

– Przepraszam was bardzo za figiel z liśćmi – mówił Puk. – Ale gdybyście po powrocie do domu mieli nieszczęście wygadać się z tajemnicy, już byście nie ujrzeli tego, co teraz widzicie. Co sądzisz o tym?

– I ja też myślę to samo – odrzekła Una. – Ale... ale ty nam powiedziałaś, że wszystkie Czar... wszystkie Ludki Górskie opuściły Anglię...

– Bo też istotnie ją opuściły! Ale czyż wam nie powiedziałem, że będziecie chodzili wszędzie, widzieli i słyszeli różne dziwy? Zresztą ten rycerz nie jest Czaroludkiem. To pan Ryszard Dalyngridge, przyjaciel mój z lat dawnych. Przybył tu jeszcze z Wilhelmem Zdobywcą⁴², a bardzo pragnąłby was poznać.

– Dlaczego? – zdziwiła się Una.

⁴² *Wilhelm Zdobywca* (ok. 1028–1087) – władca francuskiej Normandii, który najechał Anglię w 1066 r. i zdobył tron angielski. Wojska normandzkie wylądowały w Zatoce Pevensey (w pobliżu miejsca akcji powieści), korzystając z osłabienia Saksonów po walkach z Wikingami, zwyciężyły w bitwie pod Hastings i szybko podbiły cały kraj. Wilhelm nagrodził swoich rycerzy, rozdając im podbite ziemie jako lenna, a sobie zapewnił silną władzę, zatwierdzając miejscowe prawa i obyczaje. [przypis edytorski]

– Dla waszej wielkiej wiedzy i mądrości – odpowiedział Puk, nawet nie mrugnawszy okiem.

– Naszej mądrości?! – wykrzyknęła Una. – Przecież ja nie umiem mnożyć przez dziewięć na wrywki, a Dan robi straszne omyłki w ułamkach. To chyba nie o nas chodziło!

– Uno! – zawołał Dan oglądając się za siebie. – Pan Ryszard obiecał, że nam opowie, co się stało z mieczem Welanda. To on dostał ten miecz! Czy to nie wspaniałe?

– O nie... nie – odezwał się pan Ryszard zsiadając z konia, gdy dotarli do Czarodziejskiego Kręgu przy zakręcie młynówki. – To wy mi musicie o tym opowiedzieć, bo dowiaduję się, że najmniejszy brzdąc w dzisiejszej Anglii jest tak mądry jak najmądrszy kleryk za naszych czasów.

To rzekłszy wyjął wędzidło z pyska Jaskółki, przerzucił szkarłatne wodze przez szyję wierzchowca, a mądre konisko od razu ruszyło szukać sobie paszy. Wówczas pan Ryszard, utykając nieco na jedną nogę, podszedł znów ku dzieciom i odpasał miecz olbrzymi.

– Patrz, to ten miecz! – szepnął Dani do Uny.

– Tak, to ten miecz, który brat Hugon otrzymał od kowala Waylanda – potwierdził pan Ryszard. – Oreź ten nie od razu stał się moją własnością. Nie chciałem go przyjąć od brata Hugona, gdy mi go ofiarował. W końcu jednak, po bitwie tak strasznej, jakiej ani przedtem, ani potem nie stoczyli rycerze chrześcijańscy, miecz ten mnie się dostał. Przyjrzyjcie mu się!

Wyciągnął miecz do połowy z pochwy i obrócił go przed

oczyna dzieci. Po obu stronach, tuż pod rękojęścią, gdzie żywym blaskiem świecił napis runiczny, widać było dwa głębokie rowki w strasznym, śmiercionośnym żelęcu.

– Jakaż to istota wyryła mi na mieczu te szramy? – zapytał pan Ryszard. – Ja nie wiem, ale wy... ale wy może potraficie mi to objaśnić?

– Opowiedz im całą historię, mości Ryszardzie – wtrącił się Puk. – Wszak ona poniekąd dotyczy ich włości.

– O tak! Proszę opowiedzieć nam rzecz całą... od samego początku – poparła go Una, gdyż dobrotliwa twarz rycerza, okraszona uśmiechem, coraz to więcej przypominała „Imię pana Isumbrasa przeprawiającego się przez rzekę”.

Nie dał się prosić mości pan Ryszard. Siadł na murawie, nie nakrywając głowy pomimo spieki słonecznej, i przytulił oburącz miecz do piersi. Dzieci usiadły przy nim, by posłuchać opowieści. Siwek pał się spokojnie poza obrębem Czarodziejskiego Kręgu, a ilekroć łbem poruszył, szyszak przytroczony do siodła odzywał się cichym pobrzękiem. Zaś pan Ryszard mówił:

– Dobrze, opowiem od początku rzecz całą, skoro odnosi się ona do waszych włości. Gdy nasz książę wyruszył z Normandii na podbój angielskiej krainy, możni rycerze (możeście o nich słyszeli?) jęli z zapalem zaciągać się pod jego znaki, gdyż obiecywał podzielić zdobytą ziemię między tych, co wiernie służyć mu będą. Za możnymi pociągnęła i szara brać rycerska. Rodzina moja należała do uboższych w Normandii. Atoli tak się

zdarzyło, że krewniak mego ojca, Engerrad herbu Orzeł, onże Engenulf De Aquila, poszedł za hrabią Mortain, który szedł za księżciem Wilhelmem; przeto i ja pociągnął za De Aquilą. Tak! W trzy dni nieledwie, jak pasowano mnie na rycerza, zabrałem świeżo otrzymany miecz oraz trzydziestu pachołków z domu mego rodzica – i wyruszyłem na podbój Anglii. Niestety, jednogom wtedy nie przeczuwał: iż nie ja Anglię, ale Anglia mnie podbije... Przepłynęliśmy morze i wylądowaliśmy wielką kupą luda koło Santlache...

– Czy tu chodzi o bitwę pod Hastings... w roku 1066? – szeptem spytała Una. Puk tylko skinął głową, by nie przerywać opowiadajacemu.

– Koło Santlache... o tam, za wzgórkim – to mówiąc wyciągnął rękę w kierunku południowo-wschodnim, ku latarni morskiej – spotkaliśmy się z wojskiem Harolda. Rozpoczęła się bitwa. Pod wieczór wrogowie pierzchli w popłochu. Moi ludzie wraz z drużyną De Aquili ruszyli w pościg za nimi, bijąc i łupiąc wszystko po drodze. W tym pościgu był ubit Engerrad herbu Orzeł, a chorągiew i drużynę przejął po nim syn jego Gilbert. Jam jednak o tym dowiedział się dopiero znacznie później, gdyż moja Jaskółka dostała cięcie w bok, przeto zatrzymałem się nad strumykiem, koło ciernistych gąszczy, by obmyć jej tę ranę. Naraz słyszę, alić jakowyś zbłąkany Saksończyk krzyczy na mnie po francusku, wyzywając do walki. Coś mi się wydawało, że skądciś znam ten głos, ale przyjąłem wezwanie i skrzyżowaliśmy broń. Przez dłuższą chwilę żaden z nas dwu nie osiągał przewagi,

aż ci w końcu mój *sapierz*⁴³ złym dlań trafem pośliznął się i wypuścił miecz z dłoni. Ja, żem był niedawno pasowan na rycerza i nade wszystko rad byłem okazać blask rycerskiej cnoty, wstrzymałem się od ciosu i wezwałem Saksończyka, by podniósł miecz. „Skaranie Boskie z tym mieczem! – rzecze mi on na to. – Przyniósł mi klęskę zaraz w pierwszej bitwie! Przyjmij go w dani ode mnie. Wszak ocaliłeś mi życie”. To rzekłszy podał miecz; ale gdym wyciągnął rękę, miecz ozwał się jękiem, jak człek zraniony, a jam odskoczył krzycząc: „To czary!”

Dzieci spojrzały na miecz, jakby czekały, iż on znów zagada.

– Nagle z gąszczy wypadła gromada Sasów. Widząc Normanda, odciętego od swoich, rzucili się jak wilcy na owcę. Byłbym z rąk ich zginął niechybnie, gdyby ich nie odegnał mój Saksończyk, wołając, żem ci jego jest brańcem. Tedy on (w czym nie masz wątpliwości) ocalił mi życie; potem pomógł mi wsiąść na koń i wiódł mnie dziesięć mil z okładem poprzez lasy, ażeśmy dojechali do tej tu doliny.

– Co? Tutaj? – zapytała Una.

– Tak jest, do tej tu doliny. Przeprawiliśmy się przez Dolny Bród, o tam, pod Górką Królewską – to mówiąc wskazał ręką na wschód, gdzie dolina stawiała się nieco szerszą.

– Czy ten Saksończyk to przypadkiem nie nowicjusz Hugon? – domyślił się Dan.

– W rzeczy samej, on to był. Ale to jeszcze nie wszystko. Okazało się, że on przeżył trzy lata w klasztorze w Bec koło

⁴³ *sapierz* (daw.) – przeciwnik, współzawodnik. [przypis edytorski]

Rouen, w tym samym klasztorze – tu imć pan Ryszard zaśmiał się figlarnie – w którym i ja przebywałem, póki mnie nie wydalili opat Herluin.

– I za cóż cię spotkała taka kara? – spytał Dan.

– Bom wjechał konno do refektarza, gdy zacy siedzieli za stołem. Chciałem ci pokazać tym saskim chłystkom, że my, Normandowie, nie boimy się nawet opata. Nie kto inny, ale Hugo Saksończyk namówił mnie do onego figla. Od tego zasię dnia, gdy wypędzono mnie z klasztoru, nie spotkałem go ani razu. Pamiętałem jednak głos jego i zdało mi się, iżem rozpoznał jego brzmienie nawet wtedy, gdy twarze nasze były osłonięte przyłbicą. Przeto pomimo sprawy orężnej, jaką mieli pomiędzy sobą nasi książęta, cieszyliśmy się szczerze, żeśmy się nie pozabijali wzajemnie. On kroczył przy mnie, opowiadając o swym mieczu. Mówił mi, iż go miał z rąk (jako mniemał) pogańskiego bożka, atoli zapewniał, iże owo śpiewanie, ów jęk czarodziejski po raz pierwszy zdarzyło mu się słyszeć. Pomnę, że go upominał, by miał się na bacności przed złym urokiem i czarami. Oj, byłem ci wonczas młody, bardzo młody!

I uśmiechnął się do siebie w zadumie imć pan Ryszard.

– Gdyśmy dojechali do jego domu, już nam z głowy wywietrzała myśl o niedawnym boju. Choć dochodziła już północ, świetlica pełna była mężów i kobiet oczekujących wieści z pola bitwy. Wtedy to po raz pierwszy obaczyłem panią Aeluewę, siostrę Hugona, o której on nam opowiadał jeszcze we Francji. Ujrzawszy mnie, krzyknęła dzikim głosem i pewno by

mnie kazała powiesić w tejże godzinie, gdyby nie ujął się za mną jej brat, opowiadając, iżem darował mu życie (o tym, że ocalił mnie od śmierci, nie wspomniał ani słówkiem) i że nasz książę odzyskał w bitwie zwycięstwo. A gdy takie szły targi o nędzny mój żywot, nagle Hugon zatoczył się i padł nieprzytomny na ziemię, osłabiony krwi upływem.

„Z twojej to winy się stało!” – krzyknęła na mnie pani Aelueva, po czym uklękła przy bracie, wołając, by przyniesiono wina oraz opatrunki.

„Gdybym był przewidział, co się stanie – odezwał się – wtedybym jemu kazał jechać, a sam poszedłbym pieszo. Ale nie przeczuwałem niczego. On pomógł mi dosiąść konia i szedł przy moim boku, nie skarżąc się wcale, owszem, gawędząc wesoło. Daj Boże, by on przeze mnie nie ucierpiał szkody”.

„Juści, winieneś się o to modlić! – rzekła ona wydymając wargę. – Będziesz powieszon, jeżeli brat mój umrze”.

Hugona poniesiono do jego izby, natomiast do mnie przypadli trzej pachołcy, skrupowali mnie, powlekli na środek świetlicy i zarzucili mi na szyję powróż, przerzuciwszy jego koniec przez belkę w pułapie. Potem usiedli wedle ogniska i jęli trzonkami noży tłuc orzechy, oczekując wieści, zali żyw Hugo czy już bliski skonu.

– Jakże się wtedy czułeś? – zapytał Dan.

– Wielce mi było ciężko na duszy; ale się modliłem gorąco, by Bóg raczył przywrócić zdrowie Hugonowi, towarzyszowi memu ze szkolnej ławy. Około południa posłyszałem tętent w dolinie.

Trzej pachołcy co rychlej rozerwali moje pęta i rzucili się do ucieczki. W chwilę później już ludzie De Aquili wjeżdżali na dziedziniec. Wraz z nimi nadjechał Gilbert De Aquila, który szczyił się tym, iż za przykładem swego ojca pamiętał o każdym ze swych rycerzy. Był on postawy niskiej, jak i jego ojciec, ale i równie straszliwej; nos miał orli i oczy jak orzeł, bystre i żółte. Dobierał sobie pod wierzch konie zdatne do boju i rosłe – deresze własnego ujeżdżenia i chowu – a nigdy by nie ścierpiał, by miał go ktoś podsadzać na siodło. Ujrzawszy stryczek wiszący u pułapu, roześmiał się, a za nim gruchnęła śmiechem cała družyna, widząc mnie leżącego niby kłoda na ziemi.

„Niezbyt grzeczne przyjęcie spotkało tu normandzkiego rycerza – rzecze on do mnie – ale i za to wypada się odwdziaczyć! Powiedz no mi, chłopcze, kto tu ci się przysłużył najwięcej, a my zaraz wymierzimy należną zapłatę”.

– Co znaczyły te słowa? Czy on chciał ich pozabijać? – zapytał Dan.

– Nie inaczej. Lecz jam spojrzał na panią Aeluewę, stojącą pośród dziewczek dworskich, oraz na jej brata, boć właśnie ludzie De Aquili wwiedli ich wszystkich do świetlicy.

– Czy ona była ładna? – zapytała Una.

– Długo żyłem na tym świecie, ale przez cały ciąg mego życia nie zdarzyło mi się spotkać białogłowy, co by była godna rozścielać sitowie na onej podłodze, kędy stapały nogi pani Aeluevy! – odparł rycerz spokojnie i z prostotą. – Poglądając na nią, postanowiłem użyć fortelu, który by ocalił ją samą i jej

domostwo.

„Zważywszy, iżem tu przybył nieco raptownie, nie uprzedzając nikogo – odezwałem się do Aquili – nie mogę nic zarzucić grzecznym obyczajom obecnych tutaj Sasów”. Jednakże głos mi drżał, gdym to mówił, boć jest to... raczej była to niedobra sprawa bawić się w żarty z onym małym człowieczkiem...

Przez chwilę wszyscy milczeli, w końcu De Aquila roześmiał się: „Patrzajcie no, ludzie, co za dziwo! – przemówił. – Ledwośmy uporali się z bitwą i jeszcześmy nie oddali ostatniej posługi memu rodzicowi, alic ten młokos, najmłodszy z naszych rycerzy, zdążył już osiąść w swym dworze, a podwładni mu Sasi (jak poznać po ich spasionych gębach!) nie poskąpili mu usług i hołdów. A niechże mnie święci mają w swej opiece! – Tu poskrobał się w koniec nosa. – Nigdy nie przypuszczałem, że tak łatwo podbijemy Anglię! Juści, nie pozostaje mi nic innego, jak podarować temu smykowi to, co sobie sam zdobył. A zatem, mój chłopcze, dwór ten pozostanie przy tobie, póki ja tu nie powrócę albo póki ciebie tu nie ubiją. A teraz, druhowie, na koń... i jazda! Spieszmy do Kentu za naszym księżęciem, by go tam obwołać królem Anglii!”

Pociągnął mnie za sobą ku drzwiom, gdzie podprowadzono mu konia – smukłego deresza, okazalszego od mojej Jaskółki, ale przyodzianego znacznie skromniej.

„Słuchaj no – rzekł do mnie, mnąc w gniewie ogromne rękawice. – Oddałem ci pieczę nad tym dworem, gdzie wszędy

na cię czyhają żądła Sasów, a widzi mi się, że oni cię tu za miesiąc ubiją, jak ubili mojego rodzica. Ale jeżeli uda ci się utrzymać dach nad głową, strzechę nad gumnem i pług na roli aż do chwili mojego powrotu, dostaniesz ode mnie tutejsze włości w wieczyste posiadanie. Albowiem książę przyrzekł hrabiemu Mortain wszystkie ziemie koło Pevenseyu, a hrabia Mortain odda mi taką ich część, jaką oddałby nieboszczykowi mojemu ojcu. Bóg jeden wie, czy obaj dożyjemy dnia, w którym Anglia będzie podbita... atoli pamiętaj, mój chłopcze, że niekiedy wojowanie to głupstwo i fraszka, natomiast (tu wziął w rękę cugle) – fortel i przebiegłość stanowią o wszystkim”.

„Niestety, nie odznaczam się przebiegłością!” – westchnąłem.

„Juści, nie dostawa⁴⁴ ci jej jeszcze! – odrzekł wsadzając nogę w strzemię, po czym dosiadłszy konia, jął łechtać go końcem buta w brzuch. – Jeszcze się nie wyćwiczył... ale zdaje mi się, żeś sobie tu znalazł dobrego mistrza. Bądź zdrow! Zdołaszli utrzymać ten dwór, to pożyjesz długo, a jeśli go stracisz, będziesz obwieszon⁴⁵!”

I tak to, moje dzieci, acz byłem jeszcze młodzikiem bezwąsym, w niecałe dwa dni po bitwie pod Santlache pozostawiono mnie samego na czele trzydziestu chłopów, w nieznanym mi kraju, wśród ludzi mówiących obcą dla mnie mową, poruczając mi dozór nad zabraną im ziemią.

– Czy tą ziemią, która teraz do nas należy?

⁴⁴ *nie dostawa* (daw.) – nie dostaje, tj. nie wystarcza, brakuje. [przypis edytorski]

⁴⁵ *obwieszon* (daw.) – powieszony. [przypis edytorski]

– Tak jest, w tych to było stronach. Przypatrzcie się, jako ciągnęły się one włości. Naprzód tedy od Górnego Brodu, inaczej Brodu Weland, aż do Dolnego Brodu, koło Belle Allée, jakie pół mili ze wschodu na zachód. Zasię od Beaconu do Brunaburgh, które jest poza nami, ciągnęły się przez dobrą milę z północy na południe. Wszędy po lasach grasowali rozbitkowie lub zbiegli z pola bitwy sascy łotrzykowie, normańscy łupieżcy, kłusownicy i rabusie. Istne gniazdo szerszeni!

Po odjeździe De Aquili Hugon chciał mi dziękować, iżem ocalił im życie; zachnęła się na to pani Aelueva, twierdząc, jakobym to wszystko był zdziałał gwoli⁴⁶ przywłaszczenia sobie ich dworu.

„Zalim wiedział, iż mi go Aquila podaruje? – odrzekłem. – Gdybym mu napomknął, iż przez noc całą dźwigałem wasz powróż na szyi, on by już po dwakroć puścił z dymem wasze siedlisko!”

„Gdyby to mnie człek jakiś zarzucił powróż na szyję – ona mi na to – spaliłabym po trzykroć jego domostwo i nie wdawałabym się w żadne układy”.

„Tak, ale człekiem tym była niewiasta...” – odrzekłem śmiejąc się. Ona rozplakała się i jęła się skarżyć, iż urągam jej niewoli.

„Miłościwa pani! – rzekłem na to. – Nie masz⁴⁷ niewolników

⁴⁶ gwoli (daw.) – w celu. [przypis edytorski]

⁴⁷ nie masz (daw.) – nie ma, nie istnieją. [przypis edytorski]

w tej dolinie, jeno⁴⁸ jeden... a nie jest ci on Sasem”.

Rozgniewały ją te słowa, przeto jęła mnie łżyć i przezywać normandzkim opryszkciem, co zakradł się tu z kłamstwem na ustach, by mamieć ją słodkimi słowy, a w rzeczy samej wygnać ją z torbami... Wygnać ją! Przebóg! Toć ona nawet nie przyjrzała się okropnościom wojny! Uniosłem się gniewem i odpowiedziałem: „Wszystkiemu temu kłam zadać potrafię, boć przysięgnę – i wsparłem ręce na głowicy miecza na znak przysięgi – że moja noga nie postanie w tej oto świetlicy, póki pani Aelueva sama mnie tu nie zawezwie”.

Oddaliła się, nie mówiąc ni słowa; wyszedłem z dworu niezwłocznie, a za mną powlókł się Hugon, pogwizdując smętnie wedle obyczaju Anglików. Pode dworem obaczyliśmy owych trzech Sasów, co to trzymali mnie w łykach przez noc zeszłą; teraz oni z kolei byli powiązani przez moją drużynę, a za nimi stało z jakich pięćdziesięciu chłopów miejscowych, którzy patrzyli przed siebie osowiałym wzrokiem, oczekując swego losu. Z lasów, ciągnących się w stronę Kentu⁴⁹, doleciał nas słaby odgłos surm De Aquili.

„Czy mamy ich wieszać?” – pytali moi ludzie.

„Jeśli tak uczynisz, to moje chłopcy porwą się do bitki” – szepnął Hugo. Zwróciłem się doń z prośbą, by spytał trzech drabów, czy oczekują łaski.

⁴⁸ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

⁴⁹ *Kent* – hrabstwo w południowej Anglii, na zachód od Sussex, w którym położone jest Pevensy. [przypis edytorski]

„Nie liczym na nią wcale – odpowiedzieli jak jeden mąż. – Wszak mieliśmy rozkaz powiesić cię, gdyby nasz pan i zwierzchnik nie wrócił do zdrowia. I powiesilibyśmy cię na pewno”.

Gdym tak stał, bijąc się z myślami, naraz z dąbrowy na Górze Królewskiej wybiegła jakaś kobieta lamentując, iż łotrzykowie normandzcy uprowadzili jej stado nierogacizny.

„Za jedno mi to, czy to Sasi, czy Normanowie! – krzyknąłem. – Musimy stąd wykurzyć tych łotrzyków, bo gotowi ograbiać nas tu codziennie! Dalej na nich, mości panowie, zbroić się, czym kto może!” Puściłem przeto wolno onych trzech drabów i ruszyliśmy gromadą; wespół z moją pancerną drużyną poszli za przewodem Hugona i Sasi, powyciągawszy spod strzech pochowane dotąd siekierki i łuki. W połowie zbocza Królewskiej Górki zdybaliśmy pewnego franta, z Pikardii rodem, który przódziej⁵⁰ snuł się za wojskiem jako markietan⁵¹ i szynkował wino w książęcym obozie, teraz zasię paradował na ukradzionym koniu, szcząc się godłem zabranym jednemu z poległych rycerzy, a wiódł za sobą z tuzin podobnych jemu hałaburdów. Gnali przed sobą świnie, kłując je i bijąc ile wlezie. Daliśmy im tęgiego łupnia i uratowaliśmy nasz dobytek. Sto siedemdziesiąt wieprzków ocalało dzięki nam w tej srogiej bitwie. Wcale okazała porcja wieprzowiny!

⁵⁰ *przódziej* (daw.) – wcześniej, najpierw. [przypis edytorski]

⁵¹ *markietan* – drobny handlarz wędrujący za wojskiem, sprzedający żołnierzom alkohol. [przypis edytorski]

Zaśmiał się pan Ryszard i tak mówił dalej:

– Tak to po raz pierwszy wzięliśmy się do wspólnej roboty. Prosiłem Hugona, by obwieścił swym ludziom, że postąpię tak samo z każdym, czy to chłopem, czy szlachcicem, Sasem czy Normandczykiem, który by odważył się ukraść choćby kurze jajko w tej dolinie. Gdyśmy wracali do domu, Hugo ozwał się do mnie: „Dziś wieczorem znacznie przyczyniłeś się do podboju Anglii”. A jam mu na to odrzekł: „Przeto Anglia niech będzie zarówno twoją, jak i moją. Pomagaj mi, Hugonie, bym postępował sprawiedliwie z tym ludem. Oznajmij im, że jeżeli mnie zabiją, tedy De Aquila pomści ich śmiercią śmierć moją, a na moje miejsce ustanowi znacznie okrutniejszego władacza”. „Juści, chyba to prawda – rzecze na to Hugo i wyciągnął do mnie rękę. – Z dwojga złego zawsze lepsze to, które znamy, niż to, które nie jest znane. Znośmyż je więc, póki nie uda się nam wypłoszyć waszych normańskich hufców z naszego kraju”. To samo za nim powtórzyli jego Sasowie i wesołe mieli oblicza, gdyśmy pędzili trzodę ze wzgórką. I tak mi się widzi, że właśnie wtedy niektórzy z nich pozbyli się nienawiści ku mnie.

– Podobą mi się brat Hugo – z rozrzewnieniem odezwała się Uda.

– Nie masz wątpliwości, iż był to najzacniejszy, najwaleczniejszy, najtkliwszy, najmędrszy i najbardziej dworny kawaler, jakiego ziemia nosiła – odrzekł pan Ryszard pieszcząc głowicę miecza. – On to zawiesił miecz swój... ten, który widzicie... na ścianie wielkiej świetlicy, powiadając, iż do mnie

ten oręż należy... i nie tknął go ani razu aż do powrotu De Aquili, o czym niebawem wam opowiem. Przez trzy miesiące jego ludzie wraz z moimi pełnili straż w dolinie, a łotrzykowie nocni i hultaje przekonali się rychło, że niczego od nas nie dostaną krom kęsa twardego chleba... i stryczka na szyję. Ramię w ramię walczyliśmy przeciwko wszelkim najezdnikom... bywało, że trzy razy w tygodniu wypadło nam ucierać się to ze złodziejami, to z rycerzami-nieposesjonatami⁵² dybiącymi na co tłustsze włości. Na koniec doczekaliśmy się jakiego takiego spokoju, przeto starałem się z pomocą Hugona sprawować rządy nad tą doliną (cała bowiem dolina stanowiła mą posiadłość), jako przystoi na rycerza. Udało mi się utrzymać dach nad głową i strzechę nad gumnem, atoli... hardy to naród z tych Anglików! Sasowie zabawiali się nieraz w żarty i śmieszki z Hugonem, a on z nimi... i (co mnie wręcz zdumiewało) wystarczyło, by lada chudopacholek bąknął, że jakowaś sprawa podlega zwyczajom dworzyszczu, wtedy natychmiast Hugon zwoływał co najstarszych ludzi ze dworu – takich starych, że pewno już nic innego nie pamiętali – i roztrząsał z nimi ową sprawę. Wszystko inne szło wtedy na bok – widziałem, że nawet zatrzymywali żarna z niedomielonym zbożem – a jeżeli zwyczaj lub obyczaj okazał się taki istotnie, jaki głoszone, to już na tym zamykano sprawę – chociażby nawet było to na przekór Hugonowi, jego życzeniom i rozporządzeniom. Dziwy to były prawdziwe!

⁵² *nieposesjonat* (daw.) – szlachcic, który nie ma własnego majątku. [przypis edytorski]

– O tak! – odezwał się Puk, po raz pierwszy w ogóle wtrącając się do rozmowy. – Obyczaj Starej Anglii żył tu jeszcze przed wtargnięciem waszych normandzkich wojaków... no i przetrwał ich, chociaż zwalczano go tak nielitościwie.

– Jam go nie zwalczał – odparł pan Ryszard. – Jam pozwalał Sasom żyć wedle ich zatwardziałyich nawyków; zaś gdy moi własni normańscy wojacy, co ledwo szósty miesiąc popasali w Anglii, nabrali hardości i poczęli mnie uczyć, co jest obyczajem tutejszego kraju, tom się już rozgniewał nie na żarty! O, dobre to były czasy! Co za przedziwni ludzie! Jam ci ich wszystkich miłował niepomieranie.

To rzekłszy podniósł ramiona, jak gdyby chciał nimi przytulić do serca całą drogą mu krainę. Jaskółka, posłyszawszy chrzęst jego kolczugi, podniosła łeb i zarżała przymilnie. On zaś ciągnął dalej:

– Na koniec, gdy na wszelkich robotach, kłopotach, a nierzadko i zgryzotach zbiegł mi rok cały, do doliny naszej zjechał De Aquila, bez drużyny, znienacka, nie zapowiadawszy swego przybycia. Jam go pierwszy dostrzegł przy Dolnym Brodzie, samowtór z synkiem jednego z świniopasów, usadowionym na łąku siodła.

„Nie potrzebujesz mi zdawać sprawy z włodarstwa swego – ozwał się do mnie. – Wszystkiemu ci się dowiedział od tego pacholęcia”. I opowiedział mi, jak to małe lichy zatrzymało mu konia (a rosło było konisko!) przed brodem, wymachując gałęzią i oznajmując krzykiem, iż drogą tą jeździć nie wolno. „Jeżeli

wieć jedno nagie, zuchwałe pacholaćko starczyło natenczas, by bronić przeprawy, toś dzielnie się spisywał, mój włodarzu” – tak powiedział sapiąc i ocierając pot z czoła.

Uszczypnął chłopaka w policzek i pojrzał na nasze bydełko w koszarze nad rzeką.

„On tłusty, a i ono też tłuste – odezwał się pocierając koniec nosa. – No, no, nie brak aspanu przebiegłości i fortelu! To lubię, to lubię! A cóżem ci to powiadał, smyku, kiedym stąd odjeżdżał?”

„Zdołaszli utrzymać ten dwór, to pożyczysz długo, jeśli zasię go postradasz, będziesz obwieszon! – odpowiem mu na to. – Słowa te nigdy nie wyszły mi z pamięci”.

„Wierę⁵³! Takom rzekł. A tyś go utrzymał”. To rzekłszy zlaźł z siodła i końcem miecza wykrajał kawał darni znad brzegu i wręczył go mnie; klęcząc przyjąłem dar ten z rąk jego miłościwych.

Dan i Una spojrzeli po sobie zdumieni.

– To właśnie była intromisja – wyjaśnił ich Puk.

– „A teraz, mości Ryszardzie (odezwał się, po raz pierwszy używając tego miana), jesteś już prawnie zaintromitowanym właścicielem dworu – i ty, i twoi dziedzice po wiekuiste czasy. Musić to wystarczyć, póki skrybenci królewscy nie wypiszą twego tytułu na pergaminie. Anglia już do nas należy... o ile tylko zdołamy ją utrzymać”.

„Jakąż mam płacić powinność?” – zapytałem przejęty (jako

⁵³ *wierę* (daw.) – jestem przekonany; z pewnością. [przypis edytorski]

dzisiaj jeszcze pomnę) duma nieopisana.

„Lenno rycerskie, mój chłopcze, rycerskie lenno! – odpowiedział skacząc na jednej nodze koło swego wierzchowca (zda się, że wam mówił, iż był on wzrostu małego, a wszakoż nie pozwalał, by go podsadzano na siodło?) – Będiesz mi przysyłał sześciu jeźdźców albo dwunastu łuczników na każde moje zawołanie, a następnie... skąd ty tu wziął takie piękne zboże? (Albowiem był to właśnie czas przedżniwny i zboże wyłociło się nad podziw). Jeszcze ci nigdy nie widywał tak okazałych kłosów! Przysyłaj no mi co roku ze trzy wory tego ziarna, a poza tym, na pamiątkę naszego ostatniego spotkania, kiedyś to miał powrót na szyi... ugaszczaj mnie i moją drużynę przez dwa dni każdego roku w wielkiej świetlicy twojego dworu”.

„Biadaż mi! – rzekę mu na to. – Tedy jużem postradał mój dwór! Zobowiązałem się, że nie przestąpię progu świetlicy!” Po czym opowiedziałem, com ślubował pani Aeluevie.

– Więc od tego czasu nie byłeś ani razu we dworze? – spytała Una.

– Ani razu – odpowiedział pan Ryszard z uśmiechem. – Zbudowałem sobie drewniany szałas na wzgórku, tam sprawowałem sądy i tam sypiałem... De Aquila okręcił się w bok, a puklerz z chrzęścił mu na plecach. „Nie szkodzi, mój chłopcze – rzecze. – Pofolguję ci na ten rok”.

– To miało znaczyć, że pan Ryszard nie potrzebuje ugaszczać go w swym dworze przez pierwszy rok swego wladania – wyjaśnił Puk.

– De Aquila zatrzymał się przeto w mym szałasie, a Hugon, który umiał pisać, czytać i rachować, pokazał mu rejestr dworski, gdzie porządkiem spisane były wszystkie nasze łany i nazwiska wszystkich naszych ludzi; on zaś zadawał nam tysiące pytań dotyczących gleby, drzewostanu, pastwisk, młyna, stawów rybnych oraz stanu majątkowego każdego z mieszkańców doliny. Atoli ani razu nie wspomniał imienia pani Aeluevy, ani nie podszedł w stronę świetlicy. Nocą zasiadł z nami do dzbana w mym szałasie. Siedząc na słomianej ściółce i wodząc żółtymi oczyma nad pucharem, wyglądał iście jak wielki orzeł, co stroszy pióra na gnieździe; a gdy się czasem wmieszał w rozmowę, to zawsze znienacka, jak orzeł chwytający w szpony upatrzoną zdobycz, i chociaż przelatywał od jednej rzeczy do drugiej, to jednak nigdy celu nie chybiał. Bywało, przez czas jakiś poleży sobie cichutko, naraz przewraca się z szelestem po słomie i zaczyna przemawiać takim głosem, jak sam jegomość król Wilhelm, a zaraz potem prawił nam różne bajki i przypowieści; jeśliśmy czego nie rozumieli, to dźgał nas pod żebra mieczem, całe szczęście, że w pochwie ukrytym.

„Zważcie no, chłopcy, co wam mówię – gwarzył. – Snadź urodziłem się nie wtedy, kiedy mi trzeba się było narodzić. Pięćset lat temu uczyniłbym z Anglii kraj tak możny, iżby nim zawładnąć nie zdołał żaden Sas, Normand ani Duńczyk. Pięćset lat temu byłbym królom takim doradcą, jakiego świat i korona angielska nie widziała. Wszystko oto tutaj siedzi – dodał klepiąc się po wielkiej głowie – ale na niewiele to się zda w tych

straszliwych czasach. W każdym razie powiem ci, Ryszardzie, że Hugon więcej wart od ciebie”. Gdy to mówił, głos jego był szorstki i złowrogi jak krakanie kruka.

„Prawdę mówisz – odrzekłem. – Gdyby nie pomoc Hugona, jego cierpliwość i wytrwałość, nigdy bym nie zdołał utrzymać tego dworu”.

„Ani też żywota – odpowiedział De Aquila. – Hugon ocalił cię nie raz, ale sto razy. Nie przerywaj mi, Hugonie! Aza⁵⁴ wiesz ty, mój Ryszardzie, czemu to Hugon sypiał i jeszcze sypia wśród twojej normandzkiej drużyny?”

„Ażeby być przy mnie” – odpowiedziałem mniemając, iż mówię prawdę.

„Głupiś! – burknął De Aquila. – Toć to dlatego, że jego Sasi nalegali nań, by powstał przeciwko tobie i wygnał precz wszystkich Normandów z tej doliny. Niech cię nie obchodzi, skąd mam tę wiadomość. Dość na tym, że oznajmiam ci rzecz prawdziwą. Przeto Hugon uczynił się za ciebie zakładnikiem, wiedząc, że jeżeli spotka cię jaka krzywda ze strony Sasów, twoi Normañczycy zabiją go niechybnie; wiedzieli o tym dobrze i Sasi, więc liczyli się z tobą. Zali to nieprawda, Hugonie?”

„Po trosze i prawda – odrzekł Hugon okazując niejake zawstydzenie. – A właściwie było to prawdą pół roku temu. Teraz moi Sasi nie wyrządziliby Ryszardowi najmniejszej krzywdy, bo sądzę, iż się już na nim poznali... wszelakóż mniemałem, że zbytek ostrożności nigdy nie zawadzi”.

⁵⁴ *aza* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

Pomyślcie sobie, moje dziatki, co ten człowiek dla mnie uczynił... a jam się tego nawet nie domyślał! Noc po nocy spoczywał pomiędzy moją zbrojną drużyną, acz wiedział dobrze, że życiem swoim odpowiada za moje życie, gdyby który z Sasów podniósł przeciwko mnie oręż...

„Wierę! – rzecze De Aquila. – A spójrzcie, iż on jest bez miecza!” I wskazał na pas Hugona, gdyż (jak podobno wam wspomniałem) Hugon odpasał miecz swój nazajutrz od chwili, gdy mu go z ręki wytrącił pod Santlache; odtąd nosił jedynie krótką mizerykordię⁵⁵ i łuk przydługi. „Bez mieczaś i bez ziemi, Hugonie, a dyć cię zowią krewniakiem grafa Godwina (iście był Hugon z krwi Godwinowej). Dwór, który był twój dotychczas, został oddany temu junakowi i jego potomstwu po wieczyste czasy. Podnieś się tedy i ukorź przed nami, Hugonie, boć możemy cię stąd wyżenąć⁵⁶ jako psa nędznego”.

Hugon nic nie odrzekł, jenom słyszał, jako zgrzytał zębami. Wtędym się porwał przeciwko De Aquili, zwierchnikowi memu i panu, każąc, aby milczał, jeśli nie chce, bym mu wtłoczył te słowa z powrotem do gardła. De Aquila począł się śmiać serdecznie, aże mu łzy pociekły po twarzy.

„Ostrzegałem ci króla – rzecze – przed tym, co się stanie, gdy odda ziemię angielską w ręce naszych normandzkich łupieżców. Wszak to, Ryszardzie, niecałe dwa dni, jakom cię zatwierdził

⁵⁵ *mizerykordia* (z łac. *misericordia*: miłosierdzie) – niewielki miecz, sztylet, służący m.in. do dobijania rannych (stąd jego nazwa). [przypis edytorski]

⁵⁶ *wyżenąć* (daw.) – wygonić. [przypis edytorski]

panem tutejszego dwora, a ty jużś pokwapił się do rokосу⁵⁷ przeciwko swemu zwierzchnikowi i panu. Jakoż my z nim postąpim, mości Hugonie?”

„Jestem bezbronny – odparł Hugon – nie lza⁵⁸ ci szydzić z bezbronnego!” To rzekłszy oparł na kolanach głowę i zapłakał.

„Ej, głupiś, po dwakroć głupi! – zawołał De Aquila zgoła już innym głosem. – Toż nie dalej jak pół godziny temu podarowałem ci dwór Dallington tam za górą!” To rzekłszy wyciągnął rękę ponad postaniem i znowu dźgnął Hugona poufale pochwą pod żebro.

„Mnie? – zdziwił się Hugon. – Toż jestem Sasem i nie ślubowałem wierności żadnemu z Normandów, okrom⁵⁹ obecnego tu Ryszarda, którego miłuję”.

„W zacnych i zbożnych czasach, których dla grzechów moich ponoć nie dożyję, na ziemi angielskiej nie będzie ani Sasów, ani Normañczyków – odeprze mu De Aquila. – Znam ci ja się coś niecoś na ludziach, tedy ci rzekę, iż chcesz niezaprzysiężony, służyysz mi wierniej niż wielu Normañczyków, których bym ci mógł wyliczyć po imieniu. Weźże sobie tedy Dallington, a jeśli wola i ochota, to połącz się z Ryszardem i wypowiedz mi wojnę, chociażby jutro!”

„O nie! – odrzekł Hugon. – Nie jestem dzieckiem! Przyjmując dar, zobowiązuję się do wiernej służby!” Złożył obie

⁵⁷ *rokosz* (daw.) – bunt. [przypis edytorski]

⁵⁸ *nie lza* (daw.) – nie należy, nie wolno. [przypis edytorski]

⁵⁹ *okrom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

ręce w dłoniach De Aquili i zaprzysiągł mu wierność. Wówczas, jako pomnę, ucałowałem go serdecznie, a De Aquila ucałował nas obu.

Potem usiedliśmy przed szalasem, bo już się robił dzień. De Aquila przyglądał się naszym chłopom idącym do roboty na polach i gawędził z nami to o rzeczach świętych, to o łowach i ujeżdżaniu koni, to znów dawał nam rady, jak mamy rządzić w naszych dworach, to wreszcie odsłaniał nam zalety i wady króla jegomości. Tak ci do nas teraz mówił, jak gdybyśmy byli jego rodzonymi braćmi. Naraz przekradł się do mnie jakiś chłop (a był ci to jeden z owych trzech, których omieszkalem⁶⁰ powiesić przed rokiem) i grzmiącym głosem oznajmia (takim to głosem Sasowie zwykli szeptać w ucho swe tajemnice), że pani Aelueva chce ze mną pomówić w wielkiej świetlicy. Już przódziej, gdy chadzała po dworskich obejściach, miała ten zwyczaj, iż zawiadamiała mnie, dokąd się wybiera, bym mógł wyprawić kilku łuczników, którzy by szli za nią i przed nią i strzegli jej kroków. Nierzadko się zdarzało, iżem przyczajał się w lesie i również przyglądał się jej przechadzkom.

Poszedłem tedy żwawo, a gdym doszedł do dźwierzy dworzyszczą, one otworzyły się znienacka i stanęła w nich pani Aelueva, mówiąc tak do mnie: „Mości Ryszardzie, izali⁶¹ nie

⁶⁰ *omieszkąć* (daw.) – zaniechać, zrezygnować ze zrobienia czegoś. [przypis edytorski]

⁶¹ *izali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

raczysz wnijść⁶² do swej świetlicy?” To rzekłszy rozplakała się, ale nikt tego nie widział krom⁶³ nas dwojga.

Zamilkł na chwilę stary rycerz i uśmiechał się, wodząc wzrokiem po dolinie.

– Ach, jakże dobrze się złożyło! – zawołała Una klasnąwszy z lekka w rączki. – Więc ona żałowała tego, co zrobiła, i chciała ci to powiedzieć?

– Wierę, żałowała... i wyznała mi to – potwierdził pan Ryszard ocknąwszy się z zadumy. – Wnetże potem (aczkolwiek on powiadał, iż całe dwie godziny zbiegły) ku wrotom podjechał De Aquila z pięknie lśniącem puklerzem (Hugon mu go tak wyczyścił) i jął domagać się poczęstunku, przezywając mnie niewiernym rycerzem, co chce zagłodzić swego zwierzchnika i pana. Wówczas okrzyknął, że przez dzień cały nikomu w dolinie nie wolno zajmować się pracą. Naszym Sasom w to graj! Nuże dąć w rogi, zastawiać jadło i napoje, biegać w przegony⁶⁴, płaszać i śpiewać! Zasię De Aquila wszedł na drewniany podnózek i jął coś do nich prawić dziwną jakąś mową, której nikt nie zrozumiał, acz on sam oddałby głowę za to, iż była to czysta mowa saska. Noc nam zeszła na ucztę w wielkiej świetlicy, a gdy śpiewacy i harfciarze odeszli, ostaliśmy jeno we czworo i siedzieliśmy do późna przy poczęsnym⁶⁵ stole. Jako pomnę, noc była ciepła,

⁶² *wnijść* (daw.) – wejść. [przypis edytorski]

⁶³ *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

⁶⁴ *biegać w przegony* (daw.) – ścigać się. [przypis edytorski]

⁶⁵ *poczęsny* (a. poczęstny) stół – podczas uczty stół dla pana zamku, jego bliskich

oświecona pełnią księżycową. De Aquila przykazał Hugonowi, by w cześć dworzyszczca dallingtonskiego zdjął znowu swój miecz ze ściany, co Hugon wykonał z ochotą. Snadź kurz osiadł na rękojeści, bom widział, jako dmuchał na nią ze wszech stron.

Ona i ja siedzieliśwa⁶⁶ nieco na uboczu, pogwarzając. Naraz zdało się nam, jakoby harfiarze ku nam powrócili, albowiem cała świetlica drgnęła i napełniła się gwarną jakowąś muzyką. Zerwał się z miejsca De Aquila – ale nie było znikąd innego przybysza, jeno ta jasność miesięczna, co jako pył zaległa ziemię.

„Słyszycie no! – rzecze Hugon. – To mój miecz tak się odzywa”. Iście⁶⁷, ledwo go przypasał, muzyka ucichła.

„Przebóg, nie chciałbym mieć takiego oręża przy boku! – krzyknął De Aquila. – I cóż on głosi?”

„Wiedzą to jeno bogowie, którzy go działali. Ostatni raz odzywał się do mnie pod Hastings, kiedym postradał wszystkie me włości. Teraz zaś pewno głosi, że otrzymałem nową dziedzinę i znów jestem do czci wrócony” – odrzekł Hugon.

Oswobodził brzeszczot na chwilę, a potem wepchnął go znów z radością do pochwy, on zaś odezwał się doń głosem cichym, poufnym, jako... jako przemawia do męża niewiasta trzymając głowę na jego ramieniu.

Tako więc po raz drugi w życiu posłyszałem śpiew onego

i najdostojniejszych gości; *poczesne miejsce* – najzaszczytniejsze, wyróżnione miejsce. [przypis edytorski]

⁶⁶ *siedzieliśwa* (daw.) – siedzieliśmy we dwoje. [przypis edytorski]

⁶⁷ *iście* (daw.) – rzeczywiście, naprawdę. [przypis edytorski]

miecza...

—

– Patrzaj! – zawołała Una. – Tam mamusia schodzi do nas po Długim Wygonie! Cóż ona powie, gdy zobaczy pan Ryszarda? Przecież on się przed nią nie ukryje!

– A Puk już tym razem nie zdąży nas zaczarować! – dodał Dan.

– Tacyście tego pewni? – zachnął się Puk i nachyliwszy się ku rycerzowi, szepnął mu coś do ucha. Pan Ryszard uśmiechnął się i skinął głową w odpowiedzi.

– A co się stało z mieczem i bratem moim Hugonem, opowiem wam już kiedy indziej – rzekł powstając. – Hej, Jaskółko!

Wielkie konisko zerwało się kędyś z drugiego końca łąki i przeleciało kłusem tuż obok nadchodzącej matki. Wówczas dzieci posłyszały jej słowa:

– Znowu stare szkapsko Gleasona zaszło na naszą łąkę! Którędy ono tu się dostało?

– Chyba koło kamienistego zakrętu – odrzekł Dan. – Ot, nawet widać wyłom w brzegu zrobiony jego kopytami! Myśmy dopiero teraz zauważyli tego konia. Niewiele rybek udało się nam złowić, choć czatowaliśmy na nie przez całe popołudnie...

I oboje byli święcie przekonani, że tak było naprawdę. Nie spostrzegli listków dębu, głogu i jesionu, które Puk nieznacznie wetknął im za pazuchę.

Śpiewka pana Ryszarda

Za mym księżciem jechałem, pacholę
brać z Anglii haracz i daninę kniocią;
lecz dziś się nasze odmieniły role:
bo oto Anglia wzięła mnie przemocą!

Miałem rumaka, tarczę i proporzec,
i duszę wolną, ufną, nie sierocą;
lecz teraz jedno tylko muszę orzec:
Anglia w niewolę wzięła mnie przemocą!

Niech więc mój ojciec, co w wieżycy hardej
powrotu mego czeka dniem i nocą,
przypomni sobie dawne swe hazardy...
Mówcież mu: Anglia wzięła mnie przemocą!

A mojej matce – w jej cichej izdebce —
niech zgasłym blaskiem oczy zamigocą,
odawnym szczęściu niech wspomnienia szepce...
Niech wie, iż Anglia wzięła mnie przemocą!

W Rouen przebywa brat mój, paż malutki,
swawolnie lukiem bawi się i procą;
lecz i on kiedyś pozna ból i smutki...
Niech wie, że Anglia wzięła mnie przemocą

A do mej małej siostry-jedynaczki
w sadach normandzkich, co się kwieciem złocą,
mówcie: iż młodość – to czas do żeniaczki...
Mówcie, iż Anglia wzięła mnie przemocą!

Cni towarzysze broni i koledzy,
którzy brew marszczą i drwiąco chichocą,
niech dziś posłyszają – na rozstajnej miedzy —
iż Anglia od nich wzięła mnie przemocą!

Króle, książęta, rycerze, barony!
Zanim zechcecie oskarżyć mnie o co,
chciejcież posłuchać tych słów mej obrony,
widząc, iż Anglia wzięła mnie przemocą!

Chociażby w ludziach moc nadludzka tkwiła,
przeciw dwom siłom próżno się szamocą:
jedną jest miłość, a drugą mogiła...
A miłość – w Anglii – wzięła mnie przemocą!

3. Rycerze wesołej przygody

Śpiewka duńskich białogłów przy arfie⁶⁸ nucona

Czym dla was jest niewiasta, iż serc wam nie cieszy,
iż odbiegacie od niej i od swych pieleszy,
i tak się wam do starej, siwej Śmierci spieszy?

Przedsię Śmierć nie ma domu na przyjęcie gości,
ale wszystkim pospołu zimne łożę mości
w kraju zwałów lodowych i bladych ciemności...

Przedsię Śmierć was objęciem białym nie przytuli,
lecz zielskiem was oplącze i piaskiem zamuli
pośród skał, gdzie spoczniecie – zimni i nieczuli...

Przec⁶⁹ więc, gdy brzoza wzbiera od nowego soku,
gdy wiosna lody kruszy, wy każdego roku
dotrwać już nie możecie u naszego boku?

Przec wam wtedy tak tęskno do walki i wrzawy?

⁶⁸ *arfa* – dziś: harfa. [przypis edytorski]

⁶⁹ *przec* (daw.) – dlaczego. [przypis edytorski]

Przecz chyłkiem do nadmorskiej biegniecie motławy⁷⁰,
by okręt przysposobić do nowej wyprawy?

Przecz, wiosła opatrując i lin motowidła,
nie chcecie już doglądać ni koni, ni bydła?
Przecz rozmowa przy stole z nami wam obrzydła?

Jedziecie – niewstrzymani chmurną zawieruchą,
a odgłos waszych wiosł, bijący tak głucho,
długo jeszcze boleśnie rani nasze ucho...

Ach, czym jest białogłowa, iż serc wam nie cieszy,
iż odbiegacie od nas i od swych pieleszy —
i tak się wam do starej, siwej Śmierci spieszy?

Upał był tak wielki, że nie można było biegać w miejscach nie ocienionych, toteż Dan uprosił starego przyjaciela, Hobdena, by przeniósł ich łódkę ze stawu na strumień płynący w głębi ogrodu. Na burcie łódki wymalowane było jej miano: „Stokrotka”, jednakże podczas wypraw w nie odkryte dotąd kraje zwano ją zawsze imieniem bardziej stosownym, na przykład „Złota Łania” albo „Długi Wąż”. Dan popychał ją i kierował przy pomocy okutego drążka (wiosł nie można było użyć z powodu wąskości strumienia), a Una odbijała się od brzegów tyczką od chmielu. Ilekroć trafili na miejsce zbyt płytkie, wysiadali z łódki (która już zdążyła nabrać wody na trzy cale) i holowali ją sznurem

⁷⁰ *motława* – tu: zatoka. [przypis edytorski]

poprzez mielizny, gdy zaś znaleźli się poza ogrodem, gdzie brzegi były gęsto zarośnięte, jeśli posuwać się pod prąd, chwytając się zwisających nisko gałęzi.

Tego dnia mieli zamiar odkryć Przylądek Północny za przykładem „starego wilka morskiego, Othere'a”, opiewanego w jednym z wierszy książki, którą Una zabrała ze sobą. Ze względu jednak na panujące gorąco odstąpili od tego zamiaru i wybrali się w górę Amazonki, ku źródłiskom Nilu. Nawet tam, gdzie cień słał się na wodzie, powietrze było skwarne i ocieężałe od usypiających zapachów, a już poza obrębem cienia, gdzie drzewa nie dawały dostatecznej osłony, żar słoneczny prażył łąkę wprost nielitościwie. Zimorodek zdrzemnął się na swej zielonej strażnicy, a kosy ledwie że ważyły się załatywać w sąsiednie zarośla. Nie licząc wodnych kurek i wielkiego, czerwonego admirała⁷¹, który nadleciał tu z osłonecznionej łąki, by orzeźwić się kropelką wody, jedynymi czynnymi istotami były łątki⁷², co krążyły wokoło, cichuśko pobrzękując skrzydełkami.

Gdy dotarli do Stawu Wyder, „Złota Łania” osiadła wygodnie na mieliznie, oni zaś ułożyli się pod stropem gęstej zieleni, przyglądając się wodzie, co przelewając się poprzez śluzę, spływała omszałą ceglana rynienką od młynówki⁷³ ku

⁷¹ *admiral*, własc. *rusałka admirał* – łac. *Vanessa atalanta*, brązowo-pomarańczowy motyl, często spotykany w Europie. [przypis edytorski]

⁷² *łątka* – niewielka ważka z rodziny łątkowatych, najczęściej niebieska lub zielona (w Europie występuje wiele gatunków łątek). [przypis edytorski]

⁷³ *młynówka* – rzeczka lub kanał, którego wody napędzają młyn. [przypis edytorski]

strumykowi. Wielki pstrąg – dobrze znany dzieciom – wynurzał z wody łeb i skrzela, uganiając za jakąś muchą krążącą koło zakrętu. W jednolitych odstępach czasu powierzchnia wody podnosiła się o ćwierć cala, zakrywając mokre kamyki pobrażne, a czuby drzew kołysały się z leciuchnym szelestem, po czym znów było słychać tylko ciche szemranie i plaskot płynącej wody.

– Prawda, że wydaje się, jak gdyby cienie wiodły z sobą rozmowę? – odezwała się Una, która dotąd nawet nie zaczęła czytać.

Dan nie zwrócił uwagi na jej zapytanie i przechyliwszy się przez burzę łodzi, zanurzał ręce w wodzie. Naraz posłyszeli kroki na grobli, wybiegającej na środek stawu, i spostrzegli podchodzącego ku nim pana Ryszarda Dalyngridge.

– Aza⁷⁴ niebezpieczną odbyliście wyprawę? – zapytał z uśmiechem.

– Łódź nasza bardzo ucierpiała – odrzekł Dan. – Ale lato takie suche, że prawie nie ma wody.

– Tak, tak! Strumień ten był szerszy i głębszy w tych czasach, gdy moje dzieci bawiły się tu w duńskich korsarzy. Zali⁷⁵ wy teraz jesteście korsarzami?

– O nie! Od wielu lat przestaliśmy bawić się w korsarzy – wyjaśniła Una. – Jużemy z tego wyrosli. Teraz prawie zawsze bywamy odkrywcami... takimi, rozumiesz, co to objeżdżają

⁷⁴ *aza* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

⁷⁵ *zali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

ziemię wokoło.

– Wokoło? – zdziwił się pan Ryszard, sadowiąc się wygodnie na zgiętym korzeniu jesionu nad wodą. – Czyżby ziemia była okrągła?

– Czyż o tym nie było wzmianki w waszych książkach? – zagadnął go Dan, który właśnie był pod wrażeniem ostatniej lekcji geografii.

– Nie umiem ani czytać, ani pisać – odpowiedział pan Ryszard. – A ty umiesz czytać, dziecino?

– Z wyjątkiem bardzo długich słów potrafię odczytać wszystko – pochwalił się Dan.

– A to cudownie! Przeczytajże mi więc co nieco z tej księgi, żebym i ja mógł posłuchać.

Dan zarumienił się, ale otworzył książkę i – przekręcając czasem wyrazy – zaczął czytać wiersz: „Odkrywca Przylądka Północnego”:

Stary wilk morski, Othere,
co w Helgolandzie⁷⁶ miał dom,
Alfreda pragnąc pochwały,
przywiózł mu w darze kieł biały,
wydarty morskim lwom...

– Ale, ale!... Przecie to znam! – przerwał pan Ryszard. – Toż to stara śpiewanka, którą słyszałem za lat dawnych! Co za dziw!

⁷⁶ *Helgoland* – wyspa na Morzu Północnym, dziś należąca do Niemiec. [przypis edytorski]

Nie, nie zatrzymuj się!

Pochylił się naprzód, a cienie listków pełzały i ślizgały się po jego kolczudze.

Orałem końmi ziemię,
lecz szczęścia nie miałem już,
bo w dom mój przybywali
żeglarze osiwiali,
wieść niosąc mi od mórz...

Ręka pana Ryszarda spoczęła na głowicy miecza.

– Wierę, to prawda! – zawołał. – Boć tak właśnie mnie się zdarzyło!

I jał z zachwytem wybijać takt każdego wiersza.

A odtąd brzegi (rzekł Othere)
wić się poczęły już...
Więc wciąż dążyłem żmudnie
wzdłuż brzegów – na południe,
na przestwór nie nazwanych mórz...

– Nie nazwanych mórz! – powtórzył. – Tak i jam uczynił...
i ja, i Hugo...

– A dokąd pojechaliście? – zapytała Una. – Opowiedz nam,
bardzo proszę...

– Zaczekaj. Pozwól, bym wpierw posłuchał dalszego ciągu
pieśni.

Więc Dan czytał ciąg dalszy utworu – do samego końca. Wówczas pan Ryszard głos zabrał:

– Tak jest. Taka była powieść o dziejach Othere'a, jakom ją słyszał śpiewaną przez załogi duńskich okrętów. Jeni słowa nie były tak wspaniałe, chociaż nieco im podobne.

– Czy wyprawiałeś się kiedy na północ? – spytał Dan zamykając książkę.

– Nie. Szlak mej wyprawy wiódł na południe. Dalej na południe, niżeli zapuścił się ktokolwiek przed nami! W owe to strony nieznane podążyłem samowtór z Hugonem, przyłączywszy się do Witty i jego pogańskiej drużyny...

Wysunął przed siebie wielkie mieczysko i oparł się na nim oburącz, a oczy jego błędziły kędyś daleko.

– Myślałam że mieszkałeś stale w tych stronach – lękliwie odezwała się Una.

– Tak, mieszkalem, póki żyła pani Aelueva. Ale ona zmarła... zmarła... A wówczas, że syn mój najstarszy wyrósł już na mężczyznę, prosiłem De Aquilę, by zezwolił jemu władać dworzyszczem, jam zaś miał wybrać się w podróż daleką albo i w pielgrzymkę... bom chciał zapomnieć o mej boleści. De Aquila, którego Wilhelm Wtóry⁷⁷ mianował starostą Pevenseyu na miejsce zmarłego grafa Mortaina, był już wtedy wielce stary, atoli zawdy jeszcze jeździł na wielkich dereszach, a gdy siedział

⁷⁷ *Wilhelm Wtóry*, własc. *Wilhelm II Rudy* (ok. 1060–1100) – drugi syn Wilhelma Zdobywcy, jego następcy na tronie angielskim; zginął w niejasnych okolicznościach, postrzelony z łuku podczas polowania, a koronę przejął po nim młodszy brat Henryk. [przypis edytorski]

w siodle, bywał podobien małemu, siwemu kobuzowi⁷⁸. Gdy Hugon, rezydujący nie opodal w Dallington, posłyszał o mym postanowieniu, przywołał mego drugiego syna, którego jako człek bezzenny za syna swego zawdy uważał, i za zezwoleniem De Aquili oddał mu w zarząd swoje dworzyszcze aż do czasu, póki by sam nie powrócił. To uczyniwszy Hugon przyłączył się do mej wyprawy.

– Kiedy to się stało? – zapytał Dan.

– Mogę wam na to odpowiedzieć dokładnie co do dnia – i miesiąca, bo gdyśmy jechali samotrzeć⁷⁹ z De Aquilą przez włości Pevenseyu (podobno wam wspominałem, że był on panem na Pevenseyu i miał orła w herbie?), gdyśmy więc jechali, zdążając do przystani, gdzie stał okręt z Bordeaux, przywożący mu corocznie wina francuskie, jakowyś prosty chłop zabiegł nam drogę wołając, iż widział wielkiego kozła, który niósł na grzbiecie ciało króla naszego, i że ten kozieł⁸⁰

⁷⁸ *kobuz* – ptak drapieżny z rodziny sokołowatych. [przypis edytorski]

⁷⁹ *samotrzeć* (daw.) – we trzech. [przypis edytorski]

⁸⁰ *kozieł* – dziś: kozioł. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.